

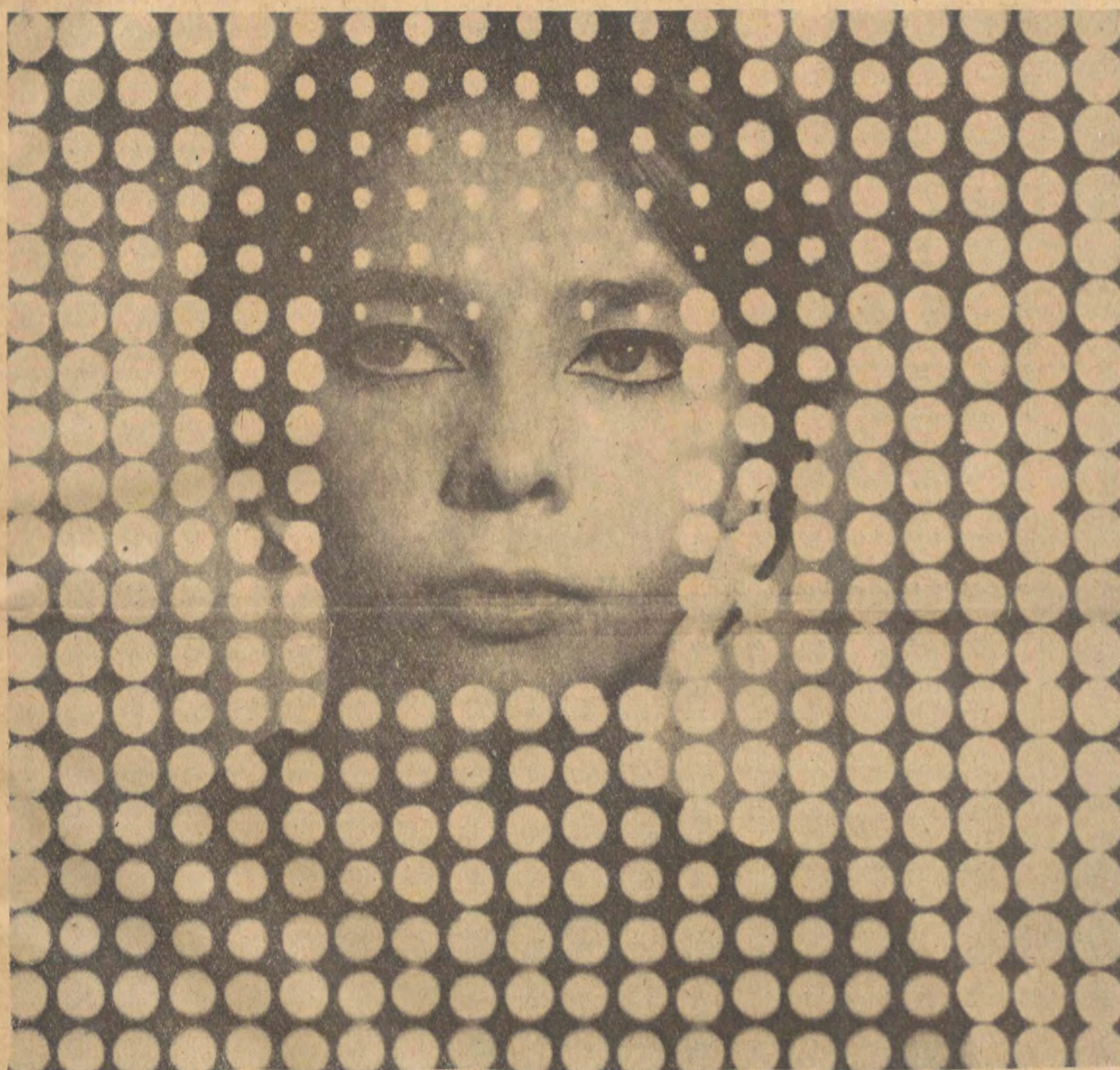
**Dziś w numerze:** ● **Wspomnienia szefa komisji rozjemczej ONZ** ●  
**Wiejska zabawa** ● **Platynowy pierścionek** ● **Dwie strony świata** ●  
**Łaniucha** ● **Recenzje** ● **Felietony** ● **Polonica**

# odgłosy



Nr 31 (445)  
 6. VIII. 1967 r.  
 10 stron  
 Cena 1 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X**



Fot. W. Parys

BOGDA MADEJ

## Inwazja decybeli

Budzik jest ci w zasadzie niepotrzebny, bo każdego ranka budzą cię dźwięki muzyki od sąsiada przez ścianę. W drodze do pracy napierają na twoje uszy zgrzyty i jęki tramwajów, piski opon hamujących samochodów, szum motorów, huk rzucających baniek do mleka.

To wszystko każdego ranka można usłyszeć na naszych ulicach. Osiem godzin spędzasz w pracy; jeśli pracujesz w hali fabrycznej, na ulicy wychodzisz ogłuszony jazgotem maszyn. A tu znów napierają na twoje uszy zgrzyty i jęki tramwajów, piski opon hamujących samochodów... W domu chcesz wypocząć i zanurzyć się w ci-

szy. Za ścianą, u sąsiada ryczy radio, a potem telewizor, sąsiad z góry spuszcza wodę, ci z dołu znów krzyczą na dziecko, a dziecko wrzeszczy niemilosiernie. Domowe hałasy cichną dopiero nocą, bo pani Edyta, często koło północy dopiero, mówi dobranoc. Można już spać, jest prawie cisza. Do jeżdżących przejazdów nocnych tramwajów jesteś już przyzwyczajony. Zostało ci około pięciu godzin snu, póki nie zbudzi cię hałas dnia.

I.

Wciąż wzrastający hałas jest jedną z cen, które płacimy za rozwój techniki. Nowoczesne maszyny i urządzenia, pomagając człowiekowi, są jednocześnie źródłem hałasu. Szczególnie upośledzeni są mieszkańcy dużych miast, gdzie inwazja dźwięku jest największa. Do jej zwielokrotnienia przyczynia się często zwarta zabudowa starych dzielnic miast, wąskie ulice, podwórka-studnie, zła akustyka budownictwa przemysłowego i mieszkaniowego, komunikacja i transport miejski, wreszcie brak kultury i bezmyślność hałasujących ludzi.

Polska norma określa hałas jako: „wszelki dźwięk przeszkadzający”. Definicja wymaga małego uzupełnienia: hałas jest zjawiskiem subiektywnym, dźwięki przeszkadzające nam, nie są hałasem dla naszych sąsiadów. Żeby nie wprowadzać tu zbyt wiele definicji i danych już ściśle naukowych przypomnę dwie jednostki pomiarowe, z jednoczesnym uwzględnieniem percepcji różnorodnych dźwięków przez ucho ludzkie.

Odbierane przez narząd słuchu wrażenia akustyczne obejmują zakres częstotliwości drgań od 16 do 16 tysięcy na sekundę (Hz-herc) którego górna granica, w miarę wieku stopniowo się obniża. Zamiast posługiwania się jednostkami fizycznymi, w akustyce przyjęto skalę logarytmiczną intensywności, czyli natężenia dźwięków, zwana skalą decybelową. I tu wiadomo, że zakres słyszalności dźwięków, przy częstotliwości 1000 Hz, wynosi 120 decybeli (dB). Ucho jest najbardziej czułe na dźwięki o częstotliwości 1500 — 4000 Hz, z tym, że przy takiej samej ilości decybeli, dźwięki o częstotliwości wyższej są bardziej szkodliwe. Biorąc pod uwagę stopień szkodliwości natężenia hałasu na słuch, względnie inne układy organizmu, część badaczy przyjmuje, że hałasy o natężeniu 35-40 dB należy zaliczyć do nieszkodliwych, od 50-80 dB do średnioszkodliwych, natężenie od 120-140 dB wywołuje już wrażenie bólu ucha — jest to tzw. próg bólowy słuchu. Skoro przebrnęliśmy państwu przez ten rząd cyfr sądzę, że warto będzie zapoznać się z tym co, i jak, głośno hałasuje. I tak: tramwaj na zakręcie przy odległości 5 m — 92 dB, wnętrze tkalni — 100 dB, przedalnia — 110 dB, szum wody w łazience — 65 dB, pisanie na maszynie — 70 dB, trzaskanie drzwiami z odległości 3 m — 75 dB, odkurzacz — 70 dB, głośna muzyka radiowa — 80 dB, krzyki z odległości 3 m — 70 dB, hałas w sklepie podczas sprzedaży — 60 dB, przejście ruchliwą ulicą 70-80 dB. I teraz dla uprzytomnienia sobie jacy jesteśmy hałaśliwi, jeszcze jedna cyfra: woda spadająca z wysokości 100 m, w swym najbardziej hałaśliwym miejscu, jest źródłem dźwięku

JAN JAKUBIEC

## LIST Z WIEŻY BABEL

Piszę z Wieży Babel, z nadmiaru wrażeń, jeszcze niezupełnie uporządkowanych. Jestem za krótko w Domu Studenckim przy ul. Kopcińskiego, a więc wiem za mało, żeby uogólniać. Notuję tylko swoje spostrzeżenia, ograniczone także i przez to, że ich codziennym przedmiotem była mała grupa ludzi, z przewagą studentów arabskich — przeciętna wieku 20 lat.

W miarę możliwości starałem się ten krąg obserwacji rozszerzać — ale to wszystko jeszcze za mało. Może ktoś kiedyś napisze wyczerpująco na ten basionujący temat. Punktem wyjścia są dla mnie te wrażenia które najsilniej utrwaliły mi się w pamięci. Wrażenie pierwsze: w Wieży Babel poczułem od razu, że

SWIAT JEST MAŁY

Dla ludzi z zewnątrz to jest przede wszystkim egzotyka, ci przybyście z Afryki, i Azji, spacerujący z dziewczętami po całym mieście, okupujący Klub Książki i Prasy. Są atrakcja każdego pochodu 1-Majowego — ich fantastyczne stroje narodowe, białe ubrania Etiopczyków kolorowe, piękne kimona Wietnamek i Mongołek dziwnie wyglądają na tle pejzażu Łodzi. Ale trzeba być tu razem z nimi, chociaż przez kilka miesięcy, żeby odczuć tę szczególną atmosferę, atmosferę Wieży Babel. Odległe kraje na mapie, znane z gazet i książek, wypełniają się znajomymi twarzami i imionami — a więc wszystkie sprawy tych krajów stają się bliskie przez ciągłą kontakty, dyskusje z ich mieszkańcami przez poznawanie, dzień po dniu, tych krajów poprzez reakcje i poglądy ludzi. Kurcza się odległość, świat robi się mały, wszystko jest blisko

Dalszy ciąg na str. 3

o natężeniu 80-90 dB. Tę konkurencję jesteśmy w stanie wygrać!

2.

Niech mi wybaczą wszyscy specjaliści „hałasolodzy” moje niefachowe terminy, które za chwilę będą chciały przeforsować. Otóż dla ułatwienia podzieliłem hałas na dwa rodzaje: hałas przemysłowy i „prywatny”. Szybko wyjaśniam, co proponuję przez te terminy rozumieć: hałas przemysłowy to ten, z którym spotykamy się w miejscu pracy; prywatny, to ten, który fundujemy sobie sami, w czym wydatnie pomaga nam ruch uliczny, architektura, i jeszcze sporo instytucji państwowych i prywatnych. Ale odłożymy prywatne na potem i zajmijmy się najpierw hałasem w przemyśle. Nie trzeba nikogo przekonywać, że jest to problem olbrzymiej wagi. Polska norma dla zakładów przemysłowych ustala dopuszczalne natężenie dźwięków do 90 dB. Tymczasem nie jest tajemnicą, że ta norma w większości zakładów jest przekroczona i waha się w granicach 100 dB; przykładowo — hałas w tkalniach automatycznych przemysłu bawełnianego wynosi około 104 dB, w skrawalniach elastilu 100 dB, w czesalniach wełny — 100 dB. Dział higieny pracy w SANEPID bada corocznie sytuację w kilkunastu tkalniach, gdzie przeprowadza pomiary natężenia hałasu. Na podstawie tych badań można stwierdzić, że w 80 proc. hal pracuje się w hałasie

Dalszy ciąg na str. 4





# Tkronika Tygodnia

Tegoroczne lato, już zwane przez niektórych „latem tysiąclecia”, nie przyniosło w polityce okresu wakacyjnego. Od dawna zresztą polityka z kalendarzem pozostaje „na bakier”. Najbardziej lipiec dokuczył chyba Waszyngtonowi.

W Wietnamie — mimo narad wojennych, a w ślad za nimi kierowania coraz to nowych sił do walki — ani widać postępu militarnego. Wręcz odwrotnie — wojska Frontu Wyzwolenia Narodowego są w ofensywie, a straty agresorów rosną z każdym dniem. Na długiej liście strat znajduje się również pozycja 2.132 zestrzelonych samolotów.

Bliski Wschód także nie daje powodu do zadowolenia. Arabów — rzecz zrozumiała — utracono na długo. Francja w tym konflikcie stanęła zdecydowanie po drugiej stronie, a większość krajów świata rozumiała, w których rękach znajdował się klucz, który nakreślał izraelski mechanizm agresji.

I do tego wszystkiego poważne kłopoty wewnętrzne — 35 miast Stanów Zjednoczonych ogarniętych walką na tle rasowym, incydenty, które w każdej chwili mogą niebezpiecznie nasilać się. O wadze problemu może świadczyć fakt, że ostatnio powołano w Stanach Zjednoczonych specjalną komisję i że w jej posiedzeniu wziął udział sam Johnson. Zadaniem tej komisji jest zbadanie przyczyn rozruchów, zahamowanie procesu „rozszereżania się choroby”, zapobieganie zjawiskom, a gdy mimo wszystko wybuchną — likwidowanie w miarę szybko.

Jak dotychczas — wojska federalne nie są w stanie opanować sytuacji. Demonstracje, po wkróceniu wojsk do akcji, przegasały tylko chwilowo, aby zaraz rozprzestrzenić się z nową siłą. O ich rozmiarach świadczy fakt, że — jak relacjonują nasi korespondenci — w ub. tygodniu np. w Detroit w wielu fabrykach zgłaszało się do pracy zaledwie ok. 30 proc. zatrudnionych. Poważny problem polityczny nabrał więc także aspektów ekonomicznych, dotkliwych dla amerykańskiej gospodarki.

Jakie są przyczyny owych niepokojów? „Wall Street Journal” tak pisze na ten temat: „Tegoroczny wybuch można było przewidzieć. W ciągu minionych lat dano Murzynom nadzieję, a później odepchnięto ich. „Zachęcano do wykazania inicjatywy na rzecz wydzwignięcia się z dotychczasowych warunków, a potem rzucano im kłody pod nogi, gdy chcieli posunąć się w górę na społecznej i gospodarczej drabinie”.

Jeszcze wyraźniej pisze o tych przyczynach „Washington Post”:

„Społeczeństwo, które zginała ludźmi w ścisłe ograniczonych dzielnicach, które rozdziela ich według rasy i dochodu, które odbiera im poczucie współdecydowania o ich sprawach politycznych i gospodarczych i które wyobcowuje ich od reszty, które lekceważy ich oświatę i które wykazuje obojętność wobec powtarzającego się gwałcenia ich godności osobistej — może zawsze oczekiwać takich zaburzeń”.

Tuszowany starannie problem rasowy w Stanach Zjednoczonych, ale zawsze przeciw występujący, odżył z nową i większą siłą. Uzewnętrzniła się głęboka przepaść, jaka dzieli białą i czarną Amerykę.

Tę przepaść ilustrują fakty, a więc: i to, że bezrobocie wśród Murzynów jest dwa razy większe niż wśród ludności białej, i to, że przeciętny zarobek Murzyna jest dwa razy mniejszy niż białego, i to, że 95 proc. dzieci murzyńskich w południowych stanach nadal uczęszcza do szkół wydziałowych, o niskim poziomie nauczania (dane z ub. roku). Tak tedy Johnsonowska ustawa, uzupełniająca wcześniejsze ustawy o prawach obywatelskich, pozostała w dużym stopniu na papierze i nie rozwiązała kwestii ludności kolorowej, która przetrwała w Stanach Zjednoczonych stanowi prawie 12 proc. Murzynów ogarnęło więc głębokie rozczarowanie i uznał drogę demonstracji i buntu za najskuteczniejszą, aby zwrócić uwagę na swe żywotne problemy.

Do kłopotów, związanych z sytuacją zewnętrzną, doszły więc Waszyngtonowi zatem i te, tym bardziej nieprzyjemne, że wielkimi krokami zbliża się termin wyborów prezydenckich. „Trudno o gorszą kabałę niż ta, w której utkneliśmy” — pisze publicysta amerykański Stewart Alsop — i niedowierzanie nawiązując do wyborów wyraża wątpliwość, że potrzebni są nowi ludzie, aby nowym okiem spojrzeć na wytworzoną sytuację.

Rozwój wydarzeń w Stanach Zjednoczonych skłonił nas do tych kilku uwag, po których chcielibyśmy znowu powrócić do Bliskiego Wschodu, rejonu ciągle utrzymującego się najwyższego zainteresowania.

Dwa fakty wymagają szczególnego potraktowania: organizowanie pierwszych prób oporu przez ludność arabską na terenach zagarniętych przez Izrael oraz przygotowania do arabskiego szczytu. Pierwszy świadczy o budzeniu się z politycznego letargu ludności okupowanych terenów i może spowodować nie lada kłopoty Izraelowi, drugi — o dążeniu do dalszego umocnienia jedności świata arabskiego. Miejsce ani termin tej konferencji, do czasu przygotowywania komentarza do druku, nie zostały jeszcze podane. Sądzi się, że szefowie państw arabskich zbiorą się w Algierze w drugiej dekadzie sierpnia. Ostatecznie jednak zdecydować o tym zapewne 13 ministrów spraw zagranicznych, którzy we wtorek spotkali się w Sudanie. Już samo dojdzie do skutku tego spotkania stanowi nowy sukces jedności arabskiej. Być może, że przygotowują oni także szczegółowy porządek dziennej konferencji.

Arabski szczyt będzie wydarzeniem najwyższej wagi i już dziś można powiedzieć, że bez reszty przykuje uwagę obserwatorów politycznych. I my do zagadnienia jeszcze powrócimy...

W. SŁAWSKI

\* Korespondent gazety „New York Times” po powrocie z podróży po krajach Afryki dał wyraz swemu przekonaniu, iż ogólny wzrost nastrojów antyamerykańskich w Afryce powoduje agresja USA w Wietnamie i podtrzymywanie rasis towarzyskich reżimów.

\* Nowe typy radzieckich odrzutów, zademonstrowane na wielkiej paradzie lotniczej w Domodedowie wywołały w całym świecie ogromną sensację. Londyński „Daily Telegraph” pisze: „Nowe radzieckie samoloty odrzutowe w sposób błyskotliwy zademonstrowały swe ogromne możliwości i świadczą o fantastycznych osiągnięciach rosyjskiego lotnictwa”.

„Grecki rząd wojskowy jest już de facto zdelegalizowany własną władzą i, być może, w konsekwencji kopie sobie grób”.

„TIMES” — LONDYN

\* Prezydent Tito przeprowadził rozmowy z przebywającą w Jugosławii delegacją Marokańskiej Partii Komunistycznej. Tematem rozmów były najaktualniejsze problemy międzynarodowe, a w szczególności wydarzenia związane z agresją Izraela na kraje arabskie.

\* Delegacja gospodarcza DRW udała się do Chin, gdzie przeprowadziła rozmowy w sprawach gospodarczych i w kwestii pomocy. Delegacji przewodniczył członek Biura Politycznego KC Wietnamskiej Partii Pracy, wicepremier Le Thanh Nghi.

„Widzę, że i wy, Amerykanie także wznosisie pomniki swoim wielkim zmarłym...”

PETER USTINOW, satyra angielski do swego amerykańskiego kolegi o Status Wolności w nowojorskim porcie.

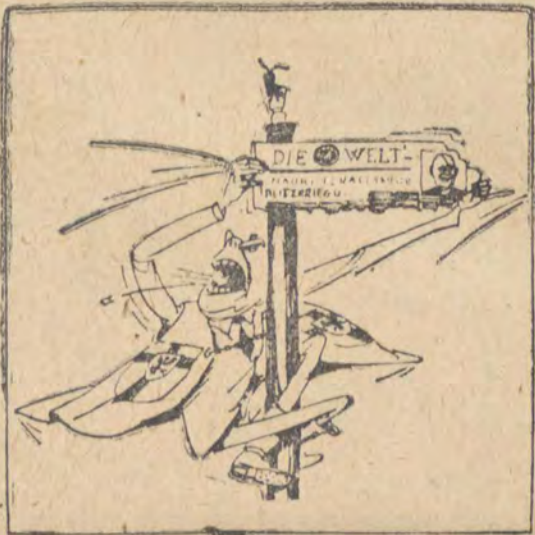
\* Opublikowana przez światową prasę informacja, iż prezydent Francji gen. de Gaulle, w czasie swej ostatniej wizyty w Bonn do magali się od rządu NRF uznania granicy na Odrze i Nysie — jest tematem licznych publikacji w prasie zachodniej.

„COMBAT” pisze m. in. „Oto przeszło 25 lat temu Śląsk i Pomorze stały się znów ziemiami polskimi po wielu wiekach rozłąki. W ciągu 20 lat zostały odbudowane miasta, stworzone nowe galezie przemysłu, skryś

talizowane nowe zwyczaje. Polacy nie znają już różnicy pomiędzy dawnymi województwami centralnymi, a nowymi — wrocławskim, opolskim i szczecińskim, w których koncentruje się dziś poważna część ich bogactw przemysłowych” (...)

„DAILY TELEGRAPH” w korespondencji z Bonn, m. in.: „Bonn uważa, iż jest „co raz bardziej odizolowany” w swej polityce dotyczącej granic na Odrze i Nysie. Mnie ma się, że zarówno rząd brytyjski, jak i koła polityczne zbliżone do prezydenta Johnsona doradzają Niemcom zachodnim uznanie tej granicy, aczkolwiek nie doradzano niżej, oficjalnie”. Sprawy te podejmują również dzienniki włoskie: „Messagero”, „Paese Sera” i „Unita”.

\* „THE EVENING STAR” (USA), nawiązując w artykule wstępnym do ogłoszonego apelu Białego Domu



Oto nasza droga w środkowej Europie... („Neues Deutschland” — Berlin)

do rządu DRW i Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego w sprawie wymiany jeńców pisze: „...Jest to coś nowego pod słońcem. Nigdy przedtem Stany Zjednoczone nie zwracały się bezpośrednio i otwarcie do NFW. Teraz jednak uczyniły to. Zwróciły się do ukrytych w cieniu polityków Wietnamu. Jak i do reżimu Ho Chi Minha, by zezwolił na bezstronną inspekcję

„Tajemnicą pozostaje tylko to, o czym mówi się na otwartych posiedzeniach; tam nikt nikogo nie słucha”.

RICHARD FELMANN po liście NRF o przedstawił wam do pracy tajemnic państwowych, które kraja w kulturach wśród posłów do Bundestagu.

sytuacji jeńców amerykańskich, przebywających u nich w niewoli. Takie słowa Białego Domu zdają się stanowić przełom, wbrew oficjalnym zapewnieniom, iż nie nastąpiła zmiana w polityce amerykańskiej, jeśli chodzi o frakcjonowanie Narodowego Frontu Wyzwolenia, jako dywersyjnego tworu Ho” (...)

\* Agencja UPI z Algieru donosi, iż minister spraw zagranicznych Algierii, Buteflika, stoi na stanowisku, że siedzibę ONZ należy przenieść do Paryża, bowiem tak długo, jak pozostaje ona w Nowym Jorku „będzie pod kontrolą mocarstw imperialistycznych”.

„Jestem głęboko przekonany, że nawet najbardziej zagorzały rasista nie zaprotestuje, gdy od śmierci w płomieniach będzie go ratował czarnoskóry strażak...”

Labourysta BEN WANTECKER w odpowiedzi zwolennikom segregacji rasowej, protestującym przeciwko przyznaniu Murzynów do londyńskiej straży pożarnej.

Wszelkie usługi są bezpłatne.

\* Dziennik „INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” (USA) zamieścił analizę sytuacji wojennej w Wietnamie, pióra Richarda Harwoda: „Tydzień zakończył 8 lipca — zaczyna autor — był zwyczajnym tygodniem wojny wietnamskiej. Wojska sojusznicze w siłę 1,2 mln ludzi przeprowadziły 41.959 akcji naziemnych, 33.354 misji powietrznych oraz niezliczoną ilość ataków artylerii morskiej, przeciwko nieprzyjacielowi na południu. Wyniki: 2.114 poległych żołnierzy nieprzyjacielskich. Według wszelkich informacji ludzi tych szybko zastąpiono. Siły przeciwnika pod koniec tygodnia były takie same, jak na początku poprzedniego tygodnia, czyli sięgały 296 tys. ludzi w szereżach Wietnamu i Wietnamu ptn. Jednakże zanotowane na przestrzeni tego tygodnia osiągnięcia, jakkolwiek skromne, uzyskane za stały koszt okolo 500 mln dolarów z kieszeni USA i za cenę strat ludzkich — 2.072 ofiar (nie wszyscy z tej liczby to Amerykanie), w tym 449 zabitych, a pozostali — ranni. W tymże tygodniu stracono 3 bombowce B-52, wartości 3 milionów dolarów każdy i kilka mniejszych samolotów. O ile wia

domo, żaden mający jakieś znaczenie obszar nie zmienił w tym czasie panu, równowaga sił między obydwoma stronami nie uległa zmianie i nie zmieniła się sytuacja wojskowa, ani pod względem taktycznym, ani strategicznym. Morale głównych sił przeciwnika pozostawało nadal wysokie, jak stwierdzili amerykańscy eksperci do spraw wywiadu.

\* „UNITA” opublikowała wywiad, przeprowadzony z jednym z przywódców partii syryjskiej BAAS, Malek el Aminem. M. el Amin powiedział m. in.: „Czy w Izraelu istnieją, bądź mogłyby się rozwinąć polityczne siły, zdolne do przeciwstawienia się agresywnej i ekspansjonistycznej polityce rządu Eszkola i Dajana? Istnieją siły, które wypowiadają się za rządem innym niż obecnie, ale nie wypowiedziały się one za niepodległość i autonomiczny państwem izraelskim. Istnieją siły powołujące się na zasady socjalistyczne i komunistyczne. Pomijając fakt, że w momencie agresji lewicowa opozycja w Izraelu milczała, trzeba postawić pytanie, czy możliwa jest zmiana charakteru państwa izraelskiego. Siły izraelskie, które w to wierzą powinny dać nam tego konkretny dowód.

Ale naszym zdaniem, z chwilą gdyby Izrael przestał być neokolonialistycznym, proimperialistycznym, agresywnym i ekspansyjnym państwem straciłoby sens i cel samo jego istnienie”.

ków burżuażli jako „bolsewiczki importu” Rady upadły, nie ich wpływ na sytuację klasy robotniczej w Polsce obserwować można było w latach następujących.

Interesujące są wywody autorów na temat wspólnej walki narodów ZSRR i Polski przeciwko hitlerowskiemu okupantowi. Podkreślono zwłaszcza rolę PPR w historycznym przeobrażeniu stosunków polsko-radzieckich. Znajdujemy też wiadomości o współdziałaniu partyzantów polskich i radzieckich na terytorium Polski. W ogólnych zarysach przedstawiono stanowisko rządu radzieckiego wobec problemu powstania ludowego państwa polskiego, po zakończeniu II wojny światowej.

Końcowe fragmenty książki poświęcone są aktualnym zagadnieniom polsko-radzieckiej współpracy politycznej i gospodarczej. Omawiana pozycja adresowana jest do szerokiego kręgu odbiorców i z pewnością spełni swą rolę popularizatora wiedzy o znaczeniu Rewolucji październikowej dla Polski w szerokim aspekcie.

Henryk Jabłoński, Adam Kruczkowski, Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa a Polska, Warszawa 1967. KIW.

## MARIAN WILK

### Rewolucja Październikowa i Polacy

Na naszym rynku księgarskim ukazują się coraz częściej monografie, książki popularnonaukowe i wydawnictwa źródłowe dotyczące dzieł wewnętrznych Rewolucji Październikowej i znaczenia przewrotu październikowego dla Polski.

Omawiana pozycja, mająca charakter popularnonaukowy, zasługuje na szczególne podkreślenie, bowiem w zwięzły i jasny sposób ukazuje wpływ idei Października na historyczny rozwój stosunków polsko-radzieckich. Autorzy rozpoczynają swój wykład od analizy tych dokumentów wydanych przez partię bolszewicką i rząd radziecki, które dotyczyły bezpośrednio sprawy polskiej w okresie trwania I wojny światowej. Znajdujemy więc szczegółowe omówienie orzeczenia narodu polskiego wydanego 14 marca 1917 r. przez Piotrogradzką Radę Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, rezolucji

VII (kwietniowej) Ogólnorosyjskiej Konferencji SDPRR z 29. IV. 1917 r., dekretu o pokoju uchwalonego 8 listopada 1917 r. przez II Ogólnorosyjski Zjazd Delegatów Rad Robotniczych i Żołnierskich, Deklaracji Praw Narodów Rosji z 15 listopada 1917 r. oraz dekretu Rady Komisarzy Ludowych z 29 sierpnia 1918 r. anulującego traktaty rozbiorowe.

Młoda Republika Rad uznała więc bez zastrzeżeń prawo narodu polskiego do samostanowienia, prawo Polski do odzyskania państwowości. Dzięki takiemu stanowisku rządu radzieckiego przedstawiciel Polski mógł wziąć udział w konferencji pokojowej w Brześciu Litewskim. Nie uzyskując bowiem zgody państw centralnych na udział przedstawicieli ludności terytoriów okupowanych w rokowańach oficjalnych — rząd radziecki postanowił włączyć Polaków do swojej delegacji. 7 lutego 1918 r. na posiedzeniu komisji politycznej konferencji brzeskiej wstąpił w białym dżakiecie SDKPiL — Stanisław Bobiński.

W książce znajdujemy informacje o udziale Polaków w Rewolucji Październikowej. Spośród licznej grupy Polaków — uczestników dni październikowych, wymieniana jest nazwiska Feliksa Dzierżyńskiego, Juliana Marchlewskiego, Feliksa Kosa,

Bronisława Wesolowskiego, Franciszka Grzelszczyka, Stanisława Bobińskiego, Stanisława Budzyńskiego, Juliana Leszczyńskiego, Zbigniewa Fabierkiewicza, Karola Świerczewskiego.

Problem wpływu Rewolucji Październikowej na walkę polskich mas ludowych w okresie międzywojennym stanowi kolejną zagadnienie zawarte w omawianej książce. Autorzy wskazują na wydarzenia, które miały miejsce w Rosji, wzmocniły w szerokich rzeszach ludu polskiego nadzieje prowadzenia walki o wyzwolenie społeczne. Główną rolę na tym odcinku odegrały dwie partie: SDKPiL oraz PPS—Lewica, które w grudniu 1918 r. połączyły się w Komunistyczną Partię Robotniczą Polski, KPRP popierała rewolucyjne zmiany dokonane w Rosji Radzieckiej i wysuwała zadania ustanowienia dyktatorury proletariatu w Polsce. Szczególnie dużą uwagę poświęcał komuniści polscy organizowaniu Rad Delegatów Robotniczych. Działali one na ziemiach polskich do połowy 1918 r. i odegrały ważną rolę w aktywizowaniu klasy robotniczej. Władnie Rady Delegatów Robotniczych wysuwały konkretne zadania ośmiodziesięciodniowe dni pracy w fabrykach, ubezpieczeń społecznych, urlopów macierzyńskich, poprawy warunków mieszkaniowych robotników itp. Będące przedmiotem za-



# LIST Z WIEŻY BABEL

Dalszy ciąg ze str. 1

nas. Niedawno miasta Kair i Damaszek gwałtownie zbliżyły się do Łodzi. W dniach największego nasilenia kryzysu bliskowschodniego studenci arabscy nie mogli rozstać się z radiem. Słyszano się ciągłe: mój dom jest w Damaszku, podobno bombardują Damaszek, jak radzi sobie w czasie wojny moja matka siostra, moich braci pewnie wzięli do wojska, dlaczego nie przychodzi listy, powinniśmy być teraz w kraju, nie tutaj. Więc tu przeżywało się te wojne inaczej, niż w całym kraju. Inaczej też czyta się artykuły o ZRA, Algierze czy Nigerji. Trzeba poznać warunki, odmienne zupełnie od naszych które ukształtowały cechy i poglądy na świat studentów z tych krajów. Więc w Wieży Babel problemów nie trzeba wymyślać — same mnożą się ponad miarę.

Zainteresowanie jest obustronne. Student ci spędzają tutaj pierwszy rok pobytu w Polsce, ucząc się naszego ponoć straszliwego języka. Jednocześnie zaczyna się w ich umysłach kształtować obraz Polski, o której często wiedzieli dotąd bardzo niewiele, a która staje się teraz dla nich ciężką rozszerzającą się rzeczywistością. Bada tu wprowadzają kilka lat, ale w tym pierwszym roku ciekawość jest największa, zainteresowania najszerze. Kiedy zaczynają już po jakimś czasie porozumiewać z Polakami, obserwują nasze życie poznają inne miasta, czytają prasę, mnożą się pytania, toczą dyskusje. Wszystkie problemy, pobierane w terenie, „eksplodują” właśnie w Wieży Babel. Zainteresowanie Polską, jej rzeczywistością polityczną, gospodarczą i obyczajową to nie tylko ciekawość — to często poszukiwanie wzorów, próba konfrontacji z aktualną sytuacją w rodzinnych krajach, szukanie dróg w przyczółek.

Alle nie tylko oni uczą się od nas. Zauważę też zjawisko odwrotne. Słuchając ich komentarzy, zaczyna się widzieć pewnie sprawy na nowo, świeżym okiem. Oglądaliśmy np. „Chwile wspomnień”, a potem autentyczną Warszawę. I mówili ze zdumieniem: „To chyba niemożliwe. To nie to miasto widzieliśmy na filmie”. Zaczyna się odświeżać zartate już wrażenie „Cudu nad Wisłą”. A w Nowej Hucie: „W jaki sposób, po takich zniszczeniach, można zbudować taki przemysł? Nie widzieliśmy o tym, nie sadziłmy nawet że to możliwe”. Na trasie dorocznej wycieczki: „Nigdy nie przypuszczaliśmy, że Polska jest takim pięknym krajem”. Rozglądam się z niejakim zdumieniem — rzeczywistość zielono, ładnie. I: „raj będzie nad Morskim Okiem”. W czasie zwiedzania jednego z miast student szuka czegoś wzrokowo. „Szukałem słumsów” — mówi.

Niektórzy natychmiast bystrym i niebrzydzającym okiem dostrzegają na ulicach chwilowe postacie po napoju narodowym. „Dlaczego ludzie w Polsce tyle piją? Trudno na odpowiedź, bo jak racjonalnie uzasadnić niemale istotne spożycie alkoholu na głowę ludności? Piący z gatunku serdecznych zreszta sami dają do zawarcia znajomości z cudzoziemcami i zapewniają, ścisła się dłoń, o swojej gorącej sympatii. Często wątpliwości i uwagi wynikają po prostu z odmienności kryteriów przeniesionych z innego zupełnie terenu. Na pytanie: „Jakże zwyczaj polskie najbardziej was dziwi?” — odpowiedzieli: „całowanie kobiet w rękę. Dlaczego to się robi?” Nie uzyskawszy wyczerpującej odpowiedzi, zaczęli sarmacki ten zwyczaj praktykować sami.

## WYCIEZKA DO OSWIECIMIA

Co rok łąda w maju na wycieczkę — Oświęcim, Kraków Nowa Huta, Zakopane, Katowice. Najsilniej utrwaliło mi się w pamięci zwiedzanie Oświęcimia. Przed wycieczką próbowałem im wyjaśnić znaczenie słowa „Oświęcim”. Coś nieco już o tym wiedzieli. Czuło się jednak, że to wszystko nie bardzo do nich dociera, że sprawy dla nas oczywiste są dla nich tylko szeregami pustych zdań. Ich wyobraźnia natrafiała na

faktów zaporę. Druga wojna światowa nie była dla nich centrum historii ostatnich kilkudziesięciu lat — świat arabski absorbowały inne sprawy, mieli też inne centra. Ponieważ wojna przeorała naszą świadomość, trudno sobie wyobrazić, że dla kogoś może być sprawą odciegną. Nie jest to tylko sprawa młodego wieku. Nasza młodzież nie może pamiętać, ale, chce czy nie chce, musi ten fakt przyjąć na stałe do swojej świadomości — słyszy o tym w domu i w szkole. Więc dziel ich od tej sprawy nie tylko czas, ale i odległość.

Jechaliśmy drogą do obozu i poprosiliśmy, żeby przestali śpiewać. Najpierw oglądaliśmy film. Na sali po zapaleniu światła było milczenie. Nikt nie komentował, nikt o nic nie pytał. A trzeba znać skłonność Arabów do spontanicznych reakcji, żeby to milczenie docenić. Potem zaczęliśmy wzdychanie obozu. Weszliśmy do sali, w której stoją flagi. Jeden ze studentów przyrzekł im się uważnie. I nagle podszedł i na całą długość wyciągnął flagę. Tak, to była flaga ZRA. Pod koniec zwiedzania grupa nieco się zmniejsza. Kilku studentów wyszło na powietrze i światło. „Rozumiem — powiedział jeden — dlatego nie wszyscy chcą tutaj wejść. Nie będę mógł spać w nocy”. Oni nie byli uodpornieni na takie rzeczy, na taki nawet śmierci i makabry. Później słyszałem ciągle powtarzane zdania „hitlerowcy nie byli ludźmi”. „muszę napisać do swojej rodziny i znajomych o tym, co oni zrobili w Polsce”. I potem, po powrocie, pytanie: „jak możliwy był hitlerizm?”. To psychiczne nierozgotowanie do widoku Oświęcimia rozumiałem jeszcze lepiej nieco później. Rozmawiałem ze studentem o Camusie. Powiedział: „Znam kilka jego książek, ale nie czytałem „Dżumy”. Nauczyciel w szkole powiedział mi: Lepiej tego nie czytać. Później przestał być nauczycielem i zajął wysokie stanowisko na ministerstwie. Spotkałem go kiedyś i zapytałem — Czy nadal pan sądzi, że lepiej nie czytać „Dżumy”? — Tak, nadal tak myślę”.

W maju widzieliśmy Oświęcim, rozmawialiśmy o „Dżumie”. W miesiąc później poznaliśmy, z odległości wprowadzając, smak wojny i jej skutków.

A rok temu student z Ameryki Lacińskiej powiedział mi w Oświęcimiu: „Oświęcim to jest dla mnie nie tylko dowód zbrodni. Patrzę na to, jak na symboliczną granicę między starą i nową epoką”. Czyżby?

## PRZEDSZKOLE DLA ANTROPOLOGÓW KULTURY

My jesteśmy Europa. I najczęściej uważamy że nasze wzory kulturowe są celem, do którego wszyscy powinni dążyć. „Europa”, która często widzi koniec własnego nosa i ani trochę dalej. Zastępa antropologii kulturalnej jest to, że uczy nas uznania i zrozumienia odrębności innych kultur, uwzględniając przy tym cechy wspólne wszystkim ludziom. Wieża Babel to miejsce, które mogłoby stać się przedszkolem dla kandydatów na antropologów kultury. Tu można się na każdym kroku przekonać o tym, poprzez codzienne doświadczenie, że każdy człowiek z Polski zaczyna się z człowiekiem z Azji porozumiewać po polsku, to ustalenie znaczenia słów stało się często bardzo

skomplikowane. W grę zaczyna wchodzić cały odmienny kontekst kulturowy, inne rozumienie wartości. Takie konfrontacje są ciekawe dla obydwo stron. Nas zmuszają do tłumaczenia, definiowania pojęć, zdawałoby się oczywistych.

W ślad za tym idą pierwsze wątpliwości, a potem skłonność do rewizji własnego sposobu myślenia. Zasadnicza cecha, która zauważyłem u studentów arabskich, to, w przeciwieństwie do nas, skłonność do widzenia świata w dwóch kolorach — białym i czarnym. Przy tej okazji udało mi się stwierdzić, że nas cechuje ostrożny sceptycyzm, moda na szarość na nieangażowanie się emocjonalnie. Kiedy przy różnych okazjach starałem się te „szarość” (to znaczy komplikowanie spraw na pozór prostych, widzenie ich z dystansu) wytłumaczyć, nie spotkałem się bynajmniej z niechęcią, ale raczej z ciekawym zaciekawieniem. Zawsze mniej trochę korekto, żeby to skomplikowanie podkreślić. Kiedy mówiliśmy o „Pierwszym dniu wolności” inteligentni studenci nie od razu mogli pojąć całą te smaczną, jaką wytworzyła sytuacja wojenna.

Alle spotkałem się również z odruchami buntu. Rozmawiałem ze studentem o sprawie samobójstwa, jakie zdarza się we wspólnotnym świecie i to wśród ludzi wybitnych. Powiedział: „To dlatego, że człowiek robi się już tak skomplikowany, że nie może dalej żyć. Dlatego zbliżamy się do końca świata. Ale my nie chcemy się komplikować aż do samobójstwa włącznie”. Pomyślałem: zdrowy odruch instynktu samozachowawczego niestety tylko, za prostoliniowość we współczesnym świecie płaci się często kleska.

Oni są pewno bardziej zadowolony z życia od nas. Z powodu swoich cech psychicznych. Ale z punktu widzenia interesów zbiorowości może im być trudno z tą beztropką i skłonnością do emocji.

Ryszard Wojna, autor „Szkiców arabskich” twierdzi, że zasadniczym składnikiem arabskiego sposobu myślenia jest filozofia islamu i że przyczyną arabskiej szczątkowości jest to, co wyraża słowo „inszallah”, obarczające przeznaczenie kierowaniem ludzkimi losami i wiążący się z tym brak nerwowości i pośpiechu. Tutaj, w Polsce, widzę ich bez naturalnego ładu, które wiele tłumaczy. Niechętnie raczej mówią o różnicach między zwykłymi polskimi i europejskimi, pozostało dominacją Europejskiej w ich krajach (to zresztą spotały się nie tylko u Arabów, ale także wśród innych przedstawicieli „trzeciego świata”). Te kompleksy często są podsyceane przez pytania, w odbiorze co najmniej nietaktowne, a u niektórych których tkwi kompromitująca ignorancja. Kiedyś studentka — Polka zapytała studenta — Syryjczyka: „Czy to możliwe, że u Ciebie w kraju chodziło ubrani tak jak tutaj, w garniturach?” I była zdziwiona, że do Polski przyjechał samolotem...

Na porządku dziennym są pytania o ilość żon ich ojców, które bardzo denerwują studentów arabskich. Wiadomo, że bardziej noszenie żony niechętnie odnosi się do wielożenstwa — jest ono w niektórych krajach arabskich uważane za przejaw wstecznicтва. Poza tym ostatecznie to są

sprawy prywalne. Studenci na ogół stwierdzają, że Polacy odnoszą się do nich z sympatią. Alle zdarza się również, że niektórzy wpadają w zdziwienie na widok innego koloru skóry lub bardzo czarnych włosów. Jest to zjawisko powszechne zwłaszcza w małych miasteczkach. Kiedy zatrzymaliśmy się w Radomsku, chyba z pół miasta wyległo na ulice, żeby oglądać i komentować. Studentów z początku to drażni — później przyjmują takie reakcje z pobłażliwą ironią. „Już się przyzwyczailiśmy” — mówią.

Studenti arabscy, których miałem możliwość obserwować, bardzo szybko przyswajali sobie nasze zwyczaje, poddawali się im chętnie i zupełnie nie stawali się forsować swoich. Czasem tylko zdradali się nowicjuszami, że są nowicjuszami w tym kraju. Odnaczali się wspaniałymi poczuciem humoru, dzięki czemu praca z nimi była zupełnie pozbawiona monotoni. W czasie tej pracy nie brak było zaskoczeń. Jedno z nich to było zaskoczenie pt.

## ARABOWIE I LITERATURA

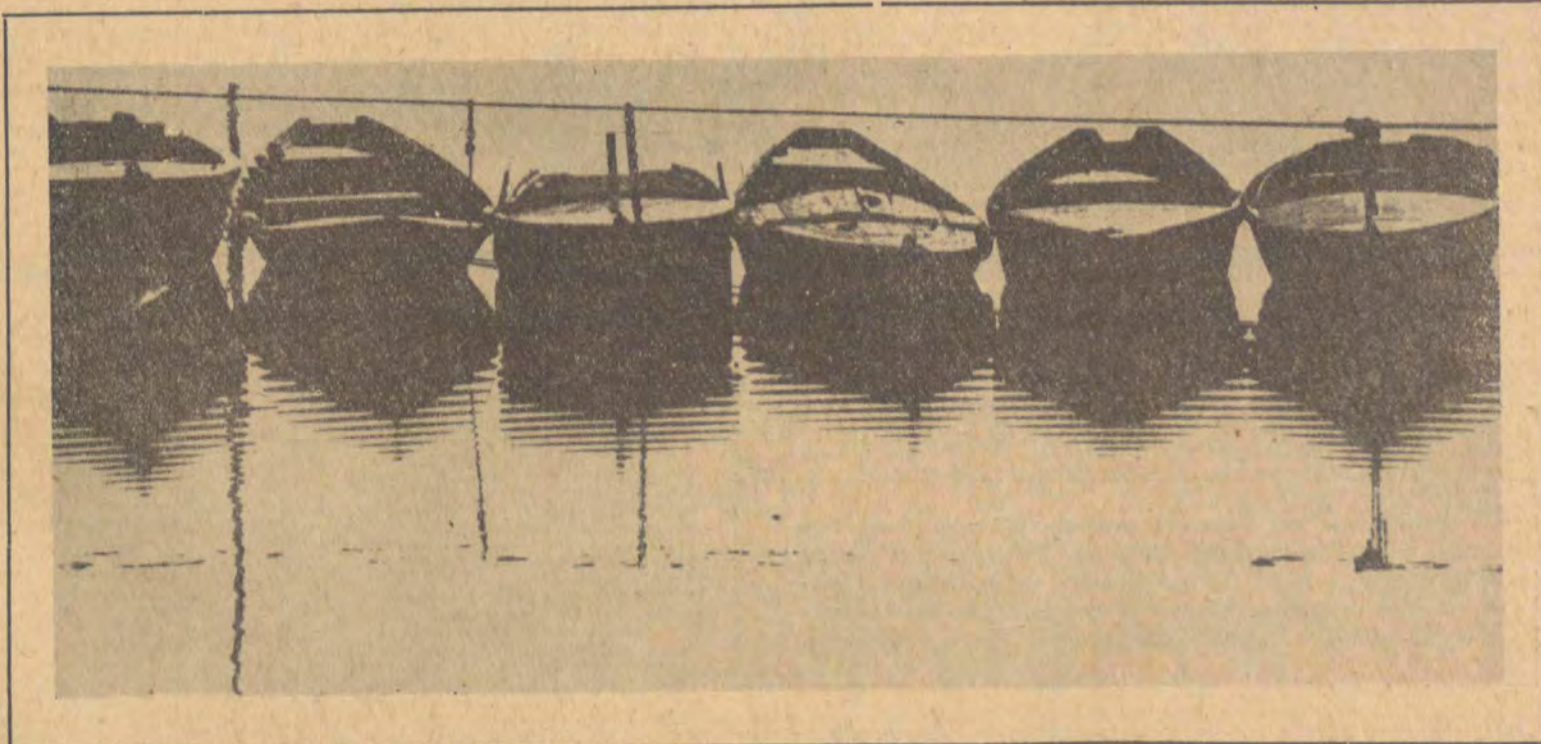
Oczywiście z pewnością są studenci, zwłaszcza, którzy będą studiować na wydziałach humanistycznych, którzy dobrze znają literaturę europejską. Alle ta grupa, którą obserwowałem, była politechniczna i właściwie znajomość tej literatury ograniczała się do kilku nazwisk. Przy jakiejś okazji mówiłem im o Conradzie i „Lordzie Jimie”. Nie zapytali mnie o stosunki rodzinne i cechy charakteru autora — zapytali o konstrukcję powieści. Chcieli się przy tym dowiedzieć, jakie zmiany przetrwała konstrukcja powieściowa w ostatnich czasach i dlaczego. Potem posypały się pytania, na które nie można było zdążyć odpowiedzieć (pomijając zasadnicze trudności merytoryczne). A więc: czy powieść tworzy sam tylko autor, czy także czytelnik bierze w tym udział?

Czy w każdej epoce rozumie się dzieło literackie zupełnie inaczej; czy są dla tego rozumienia elementy wspólne? Jaka literatura jest najlepsza? Czy to najbardziej wieloznaczna? Czy ma wpływ na ludzkie zachowanie?

Czekałem tylko z trwogą, aż zapytają: co to jest literatura?; bo coś wtedy odpowiem. Trudno wyciągnąć tu wnioski — trzeba by znać podłoże, to znaczy zbadać ich dotychczasowe lektury. Na to, niestety, nie starczyło czasu. Alle uderzyła mnie tutaj logika, zmierzająca od razu do sedna sprawy i brak manery w myśleniu, która u nas często sprawy najbardziej istotne pokrywa „izjami”. Zauważyłem u nich wielką zdolność logicznego myślenia, kiedy są tylko zainteresowani, a nie zaangażowani emocjonalnie i absolutnie niezdolność do takiego myślenia, gdy zaangażowanie występuje.

Myślę, że takich pozornych sprzeczności jest więcej. Ich świat jest niesłychanie interesujący i wart poznania ze względu na nas samych. Niestety, to jest tylko garść wrażeń. Nie byłem w Syrii i mam chyba anty talent do języka arabskiego. Alle może na miejscu bym się nauczył. Więc bardzo proszę o delegację do Damaszku, Panie Redaktorze!

JAN JAKUBIEC



## Nożycami przez PRASĘ

### SUMIENIE ESTETYCZNE

Z okazji rocznicy lipcowej „Życie Literackie” zamieściło m. in. artykuł prof. Grzybowski o stosunku rozmaitych rewolucji do wartości kulturalnych, do spadku po wiekach dorobku. Profesor, przypominając Tomasza Manna powołując się „sumieniu estetycznym”, zaczyna od określenia wartości estetyki:

Estetyka jest sumieniem, gdyż chroni od brutalności. I estetyka jest równocześnie włączaniem się jed-

nostki w społeczeństwo, włączaniem się aprobującym uczestnictwem człowieka; nawet samotna kontemplacja dzieła sztuki jest przecież aprobująca, włączająca w swą osobowość dzieło drugiego człowieka, a to dzieło drugiego człowieka wyrosło ze stosunku twórcy do innych ludzi, podniosło ten stosunek do bezinteresownej, a nieobojętnej wizji.

Znamy rewolucję, które dziedzinie kulturalnym pogardzają, lub je wręcz niszczyły. Nasza nie obchadza się bez błędów, spo-

wodowanych może nadmiarem i różnorodnością dorobku.

Jakże łatwo wtedy o błędne, i jakże łatwo o ułec zaniepania, powiedział: „odrzućmy dalszy rozwój jako w istocie dekadencje”, właśnie dlatego, że zmęczony chce uniknąć wszelki zrozumienia — soc realizm był właśnie taka próba powiedzenia, że szczyt formalnej estetyki osiągnięliśmy w połowie XIX wieku, a wszystkie inne potem jest dekadencja.

Alle mamy to poza sobą. I dlatego prof. Grzybowski stwierdza:

Bo nie było jeszcze w dziejach rewolucji, która by tak mało z kultury przeszłości odrzucała, którą by tak wiele z kultury przeszłości umiała włączyć w nowy kształt kultury.

### PRASA WOJEWÓDZKA A LITERATURA

Szczególnie cenny artykuł przyniosła „Kultura” Jego autor, Janusz Termer, przebadł siedemnaście gazet wojewódzkich za pierwsze półrocze 1968 r. pod następującym kątem: ile udzielała one miejsca wierszom i prozie artystycznej, jakie recenzują lub uwzględniały w notatkach książki?

Termer dochodzi do dwóch niewesołych stwierdzeń: Pierwsze z nich:

Podstawowy wniosek można sformułować następująco: w gazetkach wojewódzkich dominują informacje kulturalne — te nie zawsze kompletne —

dotyczące terenu administracyjnego czy regionu objętego zasięgiem danej gazety. Widać natomiast niedociągnięcia w informowaniu o zjawiskach kulturalnych mających zasięg ponadlokalny, ogólnokrajowy.

I drugie:

Informacje kulturalne zawarte w prasie wojewódzkiej — to jest drugie ważne spostrzeżenie — maia głównie charakter sprawozdawczy-okazjonalny. Widać to szczególnie przy informacjach o pisarzach, o sprawach ogólnokrajowych i instytucjonalnych formach upowszechniania książki i czytelnictwa.

Od siebie dodajmy trzy

cie, zacytowane z „Zeszytów Prasoznawczych” (Kraków 1966). Obarte o skromniejszy materiał, ale dość wymowne. Otóż Jacek Adolf zbadał ankietowo, co w dwóch gazetach szlceńskich cieszy się za interesowaniem czytelników. I przy tej okazji rozwiązał młt o szcześciwnym zasięgu tematów sportowych, której prasa codzienna z rezultaty twó poświeca miejsca.

Na uwagę zasługują zagadnienie czytelności tematyki sportowej. W środowisku dziennikarskim, w wielu redakcjach pism codziennych, a także wśród niektórych grup czytelników szczególnie interesujących się sportem, pa-

ruje szeroko rozwnszczeh niow poglad o niewyklye wyskoly poczynoścyl tematyki sportowej, zdecydowanie rzekomo przewyższajacej poczynoścyl wiekszoścyl innych tematow. W konfrontacji z faktami okazał ten okazie się — przewyższajacej w szczeście mitem; jest zdecydowanie nienaradziwym tematyka sportowa w obu dziedzinach szcześcieści znal duze sie w grupie tematow o sredniej poczynoścyl i to na dalszym miejscu. W zainteresowaniach czytelnikow „Glosu” sport znajduje sie dopiero na jedenastym miejscu, a czytelnikow „Kuriera” — na trzynastym miejscu.

JAN OLECHNO



# Inwazja decybeli

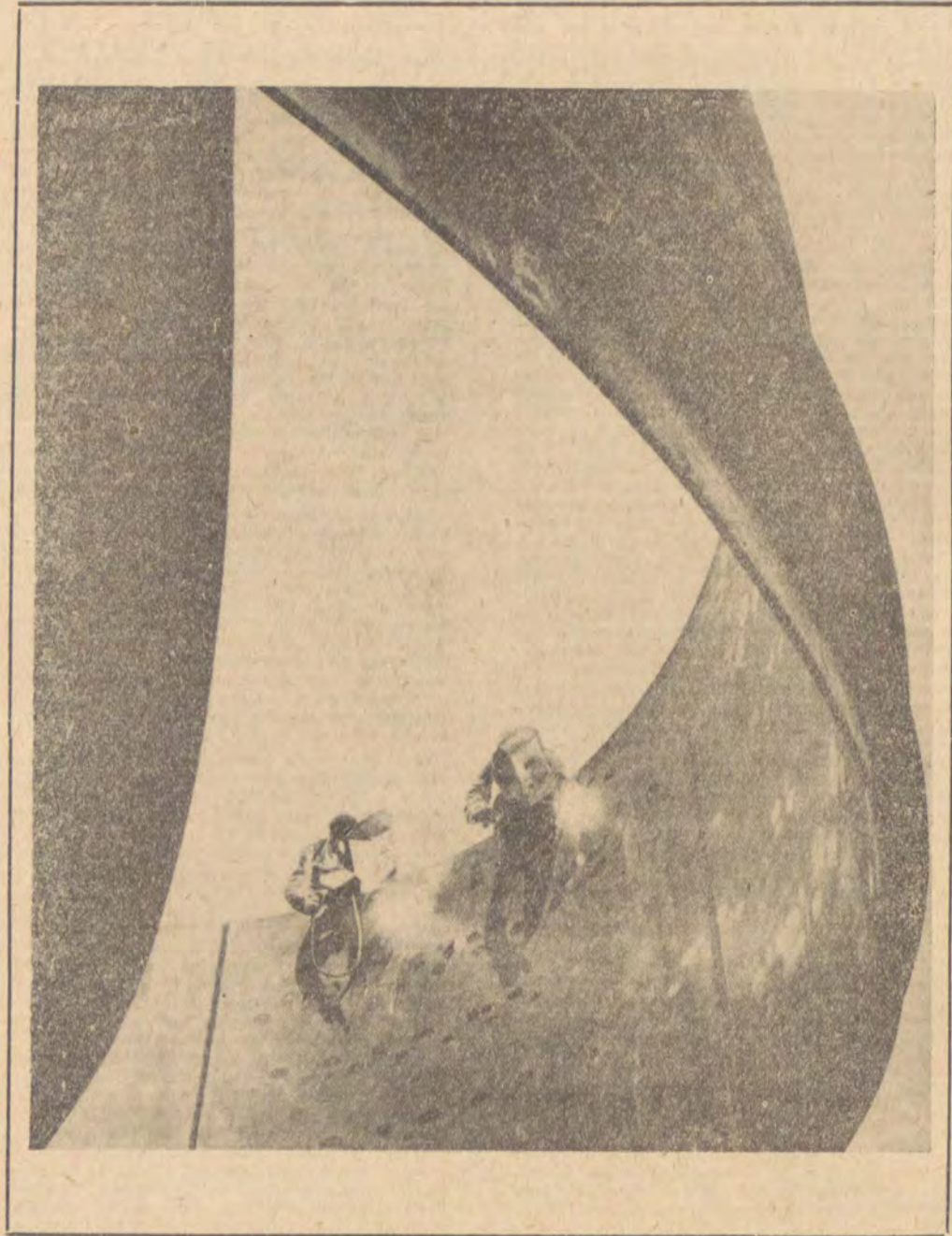
Dalszy ciąg ze str. 1

przekraczającym ustalone normy. W takich wypadkach SANEPID wydaje decyzję wyciszenia hal fabrycznych. Zakład decyzję przyjmuje i dalsza procedura ulega zatrzymaniu.

Wyciszenie hal fabrycznych nie jest bowiem sprawą prostą; od niedawna dopiero zainteresowano się problemem hałasu w przemyśle i obecna sytuacja znajduje się dopiero w fazie początkowej. Przede wszystkim przy projektowaniu nowych zakładów i modernizacji starych trzeba pamiętać o właściwej ochronie akustycznej. I to powinny wziąć pod uwagę biura projektowe. Powinny, ale omracować takich wykonawców nie mogą, ponieważ brak jest charakterystyk akustycznych dla poszczególnych maszyn. Wywiórcy maszyn z kolei nie mają obowiazku dostarczania takich i w ten sposób błędne koło zamyka się. Łódzkie Biuro Projektowania Zakładów Włókienniczych wykonuje w tej chwili szereg pomiarów w zakładach i dysponuje już pewnymi wynikami; na podstawie których można ustalić zalecenia, jak chociażby należyte posadowienie maszyn, czy grupowanie maszyn określonego typu w oddzielnych pomieszczeniach. Niezależnie od tego można poprawić akustykę hal fabrycznych poprzez zabudowę stróżów materiałami silnie pochłaniającymi dźwięk. W ZPB im. Buczka podjęto zdecydowaną walkę z hałasem już w 1962 roku. Wyciszając urządzenia stropowe, takie same jak na warszawskim dworcu Śródmieście, pochłonęły 20 decybeli i w tej chwili poziom głośności nie przekracza tam ustalonej normy. A przecież kierownictwo zakładu nie poprzestaje na tym; plany przewidują dalsze prace nad wyciszeniem hal. Warto, żeby przykład Zakładów im. Buczka był dopingiem dla innych przedsiębiorstw. Najwyższa już pora, żeby uświadomić sobie szkodliwe działanie hałasu; bo to nie tylko sprawy BHP, ale i spadek wydajności pracy, który może dochodzić nawet do 60 proc. A to leży już w bezpośrednim interesie zakładów.

Podobno istnieje norma o dopuszczalności głośności w pomieszczeniach mieszkalnych, która wynosi... 25 dB. Piszę podobno, bo wierzyć się wprost nie chce, aby ktoś mógł taką normę ustalić; to już nawet nie jest skrajny optymizm. A jeśli rzeczywiście taka norma istnieje, to kto jej przestrzega?

W trosce o formę zewnętrzną budynku jako też ze względów ekonomicznych, architekci starają się zmniejszyć do minimum grubość przegród między pomieszczeniami. Wprowadzenia nowych materiałów budowlanych dokonuje się często bez zbadania ich własności przeciwdźwiękowej. W efekcie większość nowych budynków nie odpowiadają nawet minimalnym wymaganiom izolacji przeciwdźwiękowej. Istnieje cały szereg zaleceń, np. o sytuowaniu urządzeń wodno-kanalizacyjnych w mieszkaniach, o budowaniu odpowiednio ciężkiej bity fundamentowej, o akustycznej izolacji poziomej i pionowej itd. itp. Architekci chyba o tym wiedzą. Więc dlaczego w dalszym



ciągu jest tak źle? Dlaczego przez rury w łazience, ba, również przez ściany możemy podsłuchiwać sąsiadów, dlaczego projektuje sklepy spożywcze w budynkach mieszkalnych nie pamięta się o tym, że będą tam wareszce chłodziarki, dlaczego suszarnia jest odizolowana od mieszkania należytym i skutecznym materiałem dźwiękoszczelnym? Podobno, nawet jeśli architekt zaprojektuje odpowiednią izolację przeciwdźwiękową, wykonawcy i inwestorzy projektu nie wykonują. Piszę podobno, bo choć wiadomość tę słyszałam z ust bardzo wiarygodnych, nie mogę zrozumieć dlaczego taki stan rzeczy może istnieć. Dlaczego nie pamięta się o podstawowej zasadzie, że w budynkach mieszkalnych mają pracować, odpoczywać i spać ludzie. A przecież już

w tej chwili nazwanie mieszkania „zaciśniętym domowym” mocno trąci klepskim dowcipem.

3.

O szkodliwym działaniu hałasu na organizm ludzki wiadomo już bardzo dawno, a wymownym przykładem niech będzie wydana w III w. p.n.e. zarządzenie chińskiego ministra policji Ming-Ti, które głosiło: „By ten kto osmielił się obrazić Najwyższego nie był wieszany, lecz zmuszony do nieprzerwanego słuchania gry fletów, odgłosów bebnow i osób hałasujących dotąd, aż padnie martwy, bowiem jest to najbardziej męcząca śmierć, jaka poniesie może człowiek...”. Jedną z wymyślnych tortur średniowiecza polegała na umieszczeniu śpiącego

niego delikwenta pod rozkołysanym dzwonem, co nie tylko dręczyło, lecz powodowało częstokroć obłąkanie i śmierć.

Wrażenia słuchowe odgrywają dominującą rolę w reakcji ustroju człowieka na działanie hałasu. Rozległe powłazania narządów słuchu warunkują różnego rodzaju reakcje centralnego układu nerwowego, przede wszystkim psychiczne, poza tym układu wegetatywnego oraz zespołu gruczołów wewnętrznego wydzielenia. Wszelkie zakłócenia wypoczynku i snu powodowane hałasem działają wrażliwie szkodliwie, zmniejszają odporność fizyczną i psychiczną, a w następstwie doprowadzają do szybkiego wyczerpania organizmu i choroby.

Człowiek narażony na działanie nadmiernej hałasu o charakterze przejściowym, krótkotrwałym, reaguje uczuciem ogłuszenia, które trwa do kilku lub kilkunastu sekund. Co najmniej narowidnie, powtarzane codziennie przez okres kilku tygodni lub miesięcy działania silnego hałasu wywołuje upośledzenie słuchu, trwające kilka godzin a czasami dni ale jeszcze odwracalne. Takie reakcje nazywamy stanem zmęczenia słuchu. Bardzo długie i zazwyczaj paroletnie przebywanie w silnym hałasie powoduje trwały ubytek słuchu, czasem całkowitą głuchotę oraz schorzenia układu nerwowego z dalszymi konsekwencjami.

4.

Jak dotąd, hałas walce z nami wygrywa. Wszakże, póki się jeszcze wzajemnie słyszmy, proponuje zastanowić się i porozumieć co do skuteczniejszych metod walki z hałasem. Może w tym pomóc każde z nas. Jak? Otóż:

■ Jeśli konstruktor maszyny i urządzeń mechanicznych będzie je projektował, uwzględniając w rozwiązaniach również efekty akustyczne, a eksploatator będzie pamiętał o ich należytej konserwacji;

■ Jeśli zaopatrzy się pojazdy mechaniczne w odpowiednie rury wydechowe zwiększające tłumienie hałasu. Mowa tu o tłumikach;

■ Jeśli budowniczy będą stawiać domy tak, jakby to oni mieli w nich mieszkać, pracować, odpoczywać i spać;

■ Jeśli uliczne megafony nie będą tak strasznie hałaśliwe;

■ Jeśli posiadacze odbiorników tranzystorowych będą pamiętać, że nie chcą i nie muszą ich słuchać przechodnie (w angielskich parkach używano radiodiodowych tranzystorowych bez słuchawek jest zabronione);

■ Jeśli każdy lokator bloku będzie pamiętał, że nie jest jego jedynym użytkownikiem;

Jest, oczywiście, jeszcze milion „jeśli”, ale te kładę już na sumienie wszystkich użytkowników, zaopatrzonych w samochody, motocykle, pralki, odkurzacze, freterki, radia itp., itp.

Jeszcze dwa zdania na zakończenie. Już najwyższy czas, by ustalić odpowiednie przepisy prawne, które by pozwoliły stosować sankcje wobec instytucji i osób prywatnych, które beztrzesko zakłócają lub przyczyniają się do zakłócania spokoju. Jako najwyższy wymiar kary proponuję umieszczenie winowajcy pod... rozkołysanym dzwonem!

BOGDA MADEJ

## Wspomnienia szefa komisji rozjemczej ONZ

Dwukrotnie był szwedzki generał Carl von Horn szefem komisji rozjemczej ONZ w Palestynie: w latach 1958—60 i 1961—62. Obecnie ukazała się w Szwecji i Anglii jego książka pt. „Zolnierze pokoju”, ilustrująca warunki działania komisji. Oto fragment jego wspomnień.

Gdy przybyłem w roku 1958 do Jeruzolimy, spókoj wydał się być idealny. Ale niebawem miałem się przekonać, iż będziemy, że tak powiem, musieli żyć z kryzysem za pan brat. Jedną z takich krytycznych sytuacji powstała w pobliżu góry Scopus. Za ogrodzeniem z drutu, które otaczało stary szpital Hadassa i uniwersytet hebrajski, stacjonował garnizon izraelskiej policji. Cały ten pokryty piętami teren był przedmiotem ostrego sporu i stąd też znalazł się pod oficjalną kontrolą ONZ. Jednakże Izraelczycy ciągle przekazywali nam w wykonaniu nakreślonych zadań. Oto z garnizonu rozpoczęto wysyłać uzbrojone patrole, które płaowały ludność arabską w sąsiedniej wiosce Issawia, Izylv ja, a po zapadnięciu zmroku zaskakami z drutu odcinały ulice od reszty świata.

Dziennie raporty pułkownika Flinta, kierownika mieszanej komisji rozjemczej, były tak alarmujące, że postanowiliśmy wybrać się kiedyś w pobliże góry. W Issawie rozmawiałem z soltysem, który bardzo ostro wyrażał się o nierozumnym traktowaniu jego współmieszkańców. Wspinałem się potem stromą i kretą drogą aż do ogrodzenia izraelskiej enklawy. Zauważyłem za drutami gorączkową aktywność. Poszedłem dalej i przyjrzałem się budynkom na zloczu, które były powodem szczególnie ostrych starć. Nagle wyrosła przede mną, prowadzona przez oficera, grupa zdyszanych, ciężko uzbrojonych policjantów. Utworzył tańców w porządek drogi i nie pozwalali mi iść dalej.

Zaścisnęło to było naciętych i zapluczonych rozmyślnie, abym nie miał porażki, gdyż widok głównodowodzącego siłami ONZ, wypartego z terenu, na którym miał oczywiste prawo się znajdować, byłaby nie sprzyjał podniesieniu autorytetu ONZ wśród Arabów. Lecz, gdy zaproszowałem w związku z tym u ministra spraw zagranicznych Izraela, pani Goldy Meir, dała mi jedynie odpowiedź: „My, Zdział, niechętnie pozwalamy się napaść”.

Trzy dni później izraelski patrol dostał się w Ogrodach Salomona pod ostrą ostrzał. Dwóch żołnierzy zginęło, a w kolejnej strzelaninie zginął pułkownik Flint. Było to zupełnie bezsensowne, idiotyczne i niepotrzebne starcie, którego tak łatwo można było uniknąć. Badanie przebiegu tego zajścia było niczym innym jak farsa. Kiedy nasi obserwatorzy kopczyli koniec końców i tak zostali wyszczeni za ogrodzenie z drutu, wzięli w kryzysowy ogień pytań komendanta izraelskiej policji, ten zniknął po każdym niezgodnym pytaniu w następstwie pomieszczenia, aby przez krótkofalówkę zasięgnąć wskazówek co do odpowiedzi.

W Izraelu panowało wzburzenie. Oburzano się z powodu śmierci własnych ludzi, a Narody Zjednoczone — co właściwie powinniśmy przewidzieć

— przedstawiano w najczarniejszych kolorach. Nasze ostrzeżenia, wszystkie nasze wysiłki całkiem po prostu pomiano, oskarżając nas do tego o powodowanie zajść. Nigdy w życiu nie przypuszczalibyśmy, że prawdę można tak cynicznie i sprytnie omijać.

Kilka tygodni po tym zajściu przedchadzałem się po ogrodzie pałacu, w którym ówczesny rezydent brytyjski gubernatorzy. Z początku nawet nie zauważyłem kartek papieru, które leżały na trawie pod kilkoma długodźwiękowymi goździkami. Krańca myślałem, gdzie indziej, schyliłem się jednak, by je podnieść i wtedy stwierdziłem, że oto trzymam w ręku trzy lub cztery kopie telegramów do Nowego Jorku, które mogły pochodzić tylko i wyłącznie z naszego pomieszczenia, służącego do szyfrowania tekstów. Schowałem je do kieszeni i z miejsca udałem się do tego pomieszczenia. Jego okna wychodziły na ogród. Jednakże, drzwi były zamknięte i nie miałem, pracowałem. Byłem przekonany, że znalazłem klucz do rozwiązania problemu, który mi już od dawna sprawiał duże kłopoty. Zasyfrowane telegramy w mojej kieszeni mówiły wszystko. Ostatnio np. w gazetach izraelskich komentowano już po 24 godzinach treść zasyfrowanych wiadomości o pewnej rozmowie politycznej, w której, poza mną, uczestniczyło tylko dwóch mężczyzn najbardziej zaufanych urzędników.

Oczywiście, musiało potrwać, nim znaleźliśmy nowe i pewne pomieszczenie do szyfrowania i godny zaufania personel. Wpierw jednak musieliśmy uczynić wszystko, by znaleźć słabe miejsce, by uniemożliwić dalsze przenikanie ważnych informacji. Dzięki pierwszorzędnej współpracy mojego sztabu trafiliśmy już po paru dniach naszych poszukiwań na pracownika kwatery głównej, zatrudnionego w registraturze, gdzie znajdowały się wszystkie nasze akta i rejestry i które przechodziła cała nasza korespondencja. Im bardziej obserwowaliśmy jego działalność i styl bycia, tym jasniejsze stawało się, iż człowiek ten — na skutek swego prywatnego życia — mógł się stać łatwym ofiarą szantażu. Czy rzeczywiście był szantażowany, czy też do takiego postępowania skłoniły go inne powody

— nie zdaliśmy ustalić. Mogliśmy jedynie zgromadzić poszlaki, podchodząc do sprawy z największą ostrożnością. Bez oczywistych dowodów miłtem związane ręce. Dopiero w czasie pobytu Andrew Cordiera, jednego z zastępców sekretarza generalnego ONZ, mogłem ten przypadek przedstawić, prosząc jednocześnie o przeniesienie podejrzanego, „Wujek Andy” obieści odwołać go w jak najkrótszym czasie i dotrzymał słowa.

Cieszyłem się, że Andrew Cordier przybył do Jeruzolimy. Zajęła w pobliżu góry Scopus nie tylko nie miały odstraszającego działania, lecz przeciwnie — stały się nawet początkiem coraz ostrzejszych, napaściwych akcji garnizonu izraelskiej policji. Tygodniami staraliśmy się przywołać tych ludzi do porządku. Jednakże pani Golda Meir nie wykazywała najmniejszej gotowości do współpracy z nami lub zastopowania wybrków garnizonu. Nawet sam Cordier, twierdząc przed partnerem w tego rodzaju pertraktacjach, nie zdołał uzyskać poprawy sytuacji. Jego wysiłki z konieczności spaliły na panewce z tego powodu, że pani Meir ciągle chowała się za „nasze wojsko”, a „nasze wojsko” dla odmiany okopywało się za ta korpulentna dama. Było to istne diabelskie koło, toteż wkrótce pertraktacje stanęły na martwym punkcie.

W jakimś czasie później leciałem z Dag Hammarskjöldem z Bejrutu do Ammanu na rozmowy z królem Jordani Husajnem. Oficjalnie pracówki były o naszym lecie poinformowane. Nasza biała maszyna leciała dokładnie po wyznaczonym kursie, gdy naraz, przed izraelskim wybrzeżem, zostaliśmy zaniepokojeni przez dwa odrzutowce bojowe, które przeleciały w najbliższej odległości tuż nad naszą maszyną.

Dag Hammarskjöld był akurat pochłonięty przeglądaniem zawartości swej ciężkiej teczki i wydawał się nie pojmować, co tu zaszło. Zwróciłem na to jego uwagę i muszę przyznać, iż premier Izraela nie byłby zbudowany jego komentarzem.

Gdy po pewnym czasie sytuacja nieco się ustabilizowała, miałem wreszcie okazję zająć się poważniej anomaliami w moich oddziałach. Najbar-

dziej palącym problemem stało się stworzenie służby kontrwywiadowczej. Byliśmy nawet mniej niż wykluźniano jako ewentualnego informatora. Oto pewnego dnia przyszedł do mnie dopiero co zaangażowany urzędnik, prosząc o zakopanie o rozmowę. Nie znałem go nawet z widzenia. Opowiedział mi, że doszedł do niego pewien Izraelczyk i zaproponował przekazywanie dla mnie, na dowolny bank, regularnej pensji w dowolnej walucie, w zamian za przyjęcie pewnych nieskomplikowanych zobowiązań. Pierwszym zadaniem było wypełnienie ankiety na temat moich osobistych, prywatnych zwyczajów. Ku memu zadowoleniu miał ten dokument przy sobie. Fakt, że moja żona przebywała jeszcze w Szwecji, naprowadził określonych ludzi na pewną myśl. Chcieli dla przykładu wiedzieć, czy wole arabskie czy też izraelskie metresy. Równie chętnie powitaliby informację na temat każdego mojego ludzkiego przyzwyczajenia lub osobliwości, podając rozliczne możliwości w poszczególnych subsektach. To jeszcze mogłoby być od biedy zabawne. Ale drugim warunkiem otrzymywania bynajmniej nie słabej pensji, było regularne dostarczanie wszelkich koni zasyfrowanych depech, wymienianych między mną a sekretarzem generalnym. Cieszyłem się, iż mogłem w ten pośredni chociaż sposób stwierdzić, iż nasz amatorski kontrwywiad zablokował Izraelczykom porządnie źródło informacji.

Ich próby były często aż nazbyt wyraźne, a niekiedy nawet zabawne. Gdy był tam pewien młodszy urzędnik jednego z izraelskich ministerstw. Wystawił sposób, w jaki ugaszczał personel ONZ, nie miał absolutnie pokrycia w jego dochodach. Po ustaleniu, że poza swoją pensją nie ma żadnych innych poborów postanowiliśmy dowiedzieć się czegoś więcej o nim samym, jak też o bardzo atrakcyjnych dziewczętach, które stanowiły osobę jego domu i starały się zabawić gości z ONZ. Badaliśmy rzecz skrupulatnie i wydobiliśmy, iż owe ułudzielskie stworzenia zostały zwolnione z obowiązkowej służby wojskowej, z przeznaczaniem do „zadań specjalnych”. Zadania ich były istotnie tak specjalne, że wkrótce nazwalimy te dziewczęta „komandoskami”.



# „Wiejska zabawa”

Remiza strażacka w Guzowie na skrzyżowaniu dróg stała, jak niegdyś karczma i zajazdy. Od owych karczem różni się solidnością murów pięknie otynkowanych i innym rodzajem usług, bo i zebrań wiejskie tu się odbywają, okolicznościowe akademie i szkolenie rolnicze, i kino ruchome filmy wyświetla.

Tuż przy wejściu krzyż porządowały stoły. Płoczek ogrodzony. Spośród wieńca papierowego i zeschłego kwieciska lakowego Chrystus głowę przekrzywioną boleśnie wychyla. Nad wsia wisi sennosc i omdlenie popołudnia niedzielnego, nieruchome stoja sady, tylko gdzieś odzyna się głośnie biesiadający na powietrzu. Pod szarym budynkiem remizy ruch się zaczyna. Ludzie w czarnych mundurach z czerwonymi pasami — gospodarze dzisiejsi — skrzyńki z piwem i oranżada ustawiają, kobiety kanapki przyrządzają i wodkę doprawiają. Pieniądze są u ludzi — trzeba je umieć wyciągnąć toteż literka za 120 lub 130 zł pójdzie, a kromka chleba z lichym dzwonkiem śledziowym — przynajmniej za piątaka. Już i sala czeka na gości: na całym suficie pajak obrzydliwy z kolorowych łańcuchów wisi, ściany pięknie wymalowane, czyściutkie, estrada zieleń przyozdobiona. Są i muzykanci z klarinetem, akordeonem i perkusją. Różna marsza głośnie, bębnie kotła niesie się afrykańskim tam-tamem z pustej jeszcze sali, na uciechę wabi. Dzieciaków pełno się kreć, zapatrzonych i zasłuchanych, bo muzyka tnie kawalek do kawalku i to te najnowsze — z radia. Jakoż i kawalerowie ściągają. Duszą jest; upalnie — a oni w galowej czerni, w koszulach białych; ten i ów w pobliskiej Łodzi czy Pabianicach nieźle dorobił, to i stał go na godny przyrodziewek. Sa i dziewczyny barwne wystrójone, ale już nie tak, jak to ongiś bywało — bliskość miasta i nowy czas mają swój wpływ na modę. Nikt się jakoś nie kwan do wejścia. Dziewczyny na podryw, na darmowy bilet czekają, lecz chłopaki nie w ciemno bite, ekonomicznie i nowoczesnie do sprawy podchodzą: „każda dama płaci sama”, a z biletowych „piętnastek” niegorszy grosz na gorzale się uciula. Idą więc w grupkach składki, delegat do bufetu wali, litra z musztardowa niesie, ale to tylko dla fasonu, aby było z czego pić: niejednemu kieszonka w wypchanym tańczym trunkiem — „stodoła” albo „dep tana” tu zwanym. Woda się pod pobliską żywopół, gdzie w kucki nad szkłem mierzają powściągliwie odprawiają. A pod remizą już ciżba się czyni, bo to pieszko, na rowerach i motorach ciągną od Prawdy Czysteminka, Gospodarza, Pabianiec i Rzgowa. Jaką zagłona krowa wpada w tłum, psiki i wrzaski się podnoszą, ryk motorów miesza się z muzyką. „Rozmowna” swoje robi, więc chłopakom przybywa odwagi.

Dogadują, podśmiewają się, ale i sami wchodzi, bo w sali już kilka dziewczęcych par różne holujące w dżafie wywia. Słońce rozślaca czuby drzew, głębokie cienie kładą się po drodze, kiedy sala zapełnia się nieco, a pod oknami faluje tłum rozgadany. Biletów mało sprzedano a ludzi w sali sporo, więc strażacy pod estradą chwytają się za ręce i wąż przez szerokość izby czynią. Ow waż przesuwa się nieublaganie ku zamkniętemu już wejściu, gapowiczów cwanych

wychwytuje i twarzą, po strażacku za drzwiami wyrzuca. Robi się duszno, mrok po kątach rozpełza. Za ścianą w wozowni roztrajkotat się silnik motopompy, światłość niesie, bo z barwnych pajęczych odnoży spod sufity trzy żarówki rozbliskują. Lśnią twarze spocone blyszczą za leciuchną mgiełką oczy. Chłopaki — już w koszulach tylko a kamizelkach — przewalają się erupami, według wsi, i przy każdym kawalku rozbijają tańczące pary dziewczęce. Przy stołach starsi pija mocno, że gdzieśgdzieś oiane śpiewki się rozlegają, całowania i kumanie serdeczne też widać. A za oknami baby zrzyżliwe komentują tańczących stroje i za chowanie

— Jak to się szarpia, jak te wariaty!  
— A Maryśka, jaka to kusa kiecke oblekla!

— Ze też to kulasów na takich śółkach nie zlamie.

— Kocopińska, widzicie jak to wasza Zośka przyklepa się do Janka? Zobaczącie, że on ja wam dzisiaj zepsuje.

A w sali szaleją w roztrzęsionym twięcio. Furta starszy gospodarz, któremu trzesie się siwy łeb od długiego stażu płackiego, wiał na estradę i żyvcz sobie oberka. Idzie oberkas, przewala się naród, kopie w ścisłości nożami i plecami zderza, furkoca stylonowe sukienki i przekwitująca barwa hulek i nagięto ciała. Przez owe zderzenia bótki wyrkają: chłopaki chwytają się za łby za koszule na dekach, lecz strażacy rozrywają natychmiast i na święte powietrze wycychają. Nie ma już takich opornych jak Józek Waruch murarz, który za łzy matczyną, za forsz przy tregrach i ceglach, wycięcia mocno pił, że go trzy razy wrzucił w błoto przed remizą a on wracał i odgrażał, iż nie pozwoli sobie na żyvczowys wdępywać. Po którymś ochłaju znaleźli go w rowie, z twarzą w pływuchnej wodzie zanurzona, już zimnego.

Przewiejsza się nieco bo u muzykantów pół literka z zakaska stanął. Wychodzą zabawnicy na powietrze, a niektórzy — zniemożony wódka i duchota — ulge sobie czyni pod ścianą lub pod drzwiami nawet.

Mrok i porachunkom sprzyja: w sieni wali się w stercie skrzyń w oranżadzie młodzień z Gospodarza. To któryś z miejscowych zdrowo go trzasnął w „przyłłino”. Bezdzie tu jeszcze ciepłot! Zapięci muzykantów wazajemnie się zarłuszcją i graja w tonioie „na wymięoty”. Wtóruje im cieniem tenorkiem Heniek Klus, ojciec trojga dzieci, który wypłata w „Poziołmie” w Modliwym przepił, do chałupy boi się wracać, bo tam łąy i waly czekały. W zacisznym kąciku lunatyckie bary się wozła: i czy to wale czy oberok — oni jedynko flemmatycznie, z angielską tańca. Wtuleni w siebie, gorącaci brzuchów zwarci, z przedplecionymi udami — uverture do ostatecznego zbliżenia dała. A chłopakom ręce się poca, bo na białych bluzkach cienne ślady dłoni pozostała. Z nagła czar i sielskość przyskani — szum się wielki robi i zamieszanie. Oto w ciemnościach pod ukrzyżowaniem Chrystusem ktoś z Czyżeminka w morder butelka dostaje, a w sukurs idą mu chłopaki z Gospodarza. Wtażają się kotłowania do sali. Refleks słaby po solidnym tankowaniu, toteż szerokie cevy nie zawsze trafiają. Młota się zapamiętata, przewalają po kątach, koszule



trzeszcza, a niektórzy farbuje nosem nieczogrzez. Wali się stół, czerwone wino cieczą jak krew dziewczyny zaś piszcza na ławach pod ścianami, a orkiestra tnie zapamiętata, by uwage o mordobicia odwrócić. Niezbyt trzeźwi strażacy bezpardonowo likwidują rozróbe i powołał ład wraca. Ale waśń między wsiami pozostanie i na każdej zabawie zdrowogim akcentem się odbije. Zawiedzie ich owa nienawiść do prokuratora, do sądu, do więzienia i nabiekniesz lata życia w społeczności wymaje.

Zabawa toczy się dalej. „Sala nabita już do niemożliwości, gdyż bilety przestano sprzedawać — wstęp wolny! Jest godzina 23.00, a wśród pijanych podżarów sennie dzieci się płacza i natrza niewinnymi łeszczce oczętami, na grabiaństwo i brutalność światła dorosłych. Malcom przewodzi czarny, kudłaty Grzela, co czwarty rok w szóstiej klasie przesiaduje. Wraz z ojcem płaćkiem Grzela babke nożem już straszcy; sam zaś rowery i zegarki kradnie. Tkuli go ojciec, który z matką nie siedzi więc Grzela uciekał z chałupy, w zimowe noce po stogach sypiał, niedolaład. Potem go babka z Domu Dziecka odebrała, bo zał ja serdecziny z wnukiem uiał. Odcierpi babunia za litosciwe serce! Drż Grzela króluje: zbiorckę butelek organizuje, niedopiłki zlewa i

wspólnie z dziesięcioletnimi wysacza. Matych do niestrzeżonej szatni kieruje; drobne rączyny łącno z kieszeni pozostawiony grosz wyściubia, a ruda Fela w bufeleje kazdemu wino sprzedza — o zarobek lno idzie w bufele. Ociecie się schlał jak świniła, to go Grzela stłukł po pysku i do chałupy na plecach zaciągnął; ludziska uciechy mieli co niemiarą.

O godz. 24.00 marsz pożegnalny rozbrzmiewa i muzyka odjeżdża na wozie. Rycza motory, dziewczyny na siodełkach z zamkniętymi oczyma ruszają na szalenca łądze i śmierć potencjalna — jako że chłopaki na „dwóch gazach” jada. Niepomni Cześka Hubery, który bez światła osiemdziesiątką „kittując” z zabawy — rozwalil się okropnie, że go chirurgdry trzy dni mozolnie składali. Pozostają gospodarze „nadrobiona” wódke wypija — do samego rana zysk i imprezy beda sumować. Nocna cisze rwie psi jązgot, bełkot pijackich piosenek i nawoływanie po drogach.

Piszacy te słowa bez „lipa” pod okiem wyszedł jako że znany jest w środowisku, tyle że bez notosu musiał się czać po kątach. Głupio się czuł — normalnie, jak trzeźwy wśród pijanych się czuje. Komentarka się też wyzybam.

Kilka dalszych przypadków miało pokazać, z czym należało nam się uporać. Rachela była atrakcyjna, kruczowłosą Sabryjką (Żydówka urodzona w Izraelu), która świetnie opanowała sztukę zawierania znajomości z nowo przybyłymi pracownikami naszego personelu. Ronnie, seksualnie zgłodniały, młody, „ślomiany wdo-wec”, z mielsca się do niej zapalił i aż nadto gorliwie skorzystał z jej zaproszenia, by po parę godzin przyjechał do domu. Nie miał powodu, by złowad tego kroku — aż do momentu, kiedy opuścił dom Rachel. Wówczas to pewien uprzejmy młodzieniec, który właśnie zapuszczał silnik swego samochodu, zapytał go, czy może go odwieźć do domu.

— Bo pan zdaje się niedawno tu chyba przyjechał, więc może trochę pokazać panu miasto?

— Bardzo miło z pana strony...

— Słyszałem poza tym — padło po pewnym czasie, już w samochodzie — że pańska żona wkrótce tu przybędzie...

— Tak, dzięki Bogu...

— Czy pan ją kocha?

— Oczywiście!

— A czy nie byłaby, hm, nieco rozczarowana, gdyby się dowiedziała o Rachel?

— Ależ proszę pana, co to ma znaczyć?!

— Niech się pan nie martwi. Obiecuje panu, że pańska Rosie o niczym się nie dowie, jeśli będzie pan rozsądny...

— Skąd pan zna jej imię?!

— Wiemy wszystko o panu. Powinien pan raczej przystać i robić co panu powiem.

— Ależ wtedy miałbym kłopoty z moim szefem. General jest cholernie twarzą w takich sprawach.

— Ten głupi, stary kundel! Chce być zawsze chytrzejszy od nas! Będzie pan bezpieczny jak u Abrahama na kolanach, jeśli pan tylko troszkę się postara i od czasu do czasu zbierze dla

nas parę specjalnych informacji. To się też optaca. Niech mi pan tylko powie, gdzie pragnie pan otworzyć swoje konto bankowe.

Na szczęście Ronnie nie przystał i zgłosił się natychmiast do „stupiego, starego kundla”.

Wiosną roku 1962 sporządziliśmy obszerny raport o zbrojnych zajęciach między Syryjczykami a Izraelczykami pod El-Kursi i Nukelb, który też wkrótce przedłożono członkom Rady Bezpieczeństwa. Prasa Izraelska określiła go jako „suchy”, ale „obiektywny”.

28 marca przemawiał przed Radą Bezpieczeństwa w Nowym Jorku ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ — Adlai Stevenson. Po żądaniu radzieckiego delegata, który domagał się od Rady Bezpieczeństwa potępienia Izraela za jego akcje napastnicze Stevenson oświadczył, że przed siedmiu laty Rada po raz ostatni wysłuchała głównodowodzącego misją ONZ w Izraelu (UNTSO), czas zatem, aby wezwać mnie teraz do bezpośredniego udziału w obradach nowojorskich.

Byłem w pełni świadomy komplikacji, jakie mogły wypływać z mej podróży i już widziałem na ścianie owego MENETERKEŁ. Nie trzeba było nawet specjalnie groźby Izraelskiej gazety „Ha'aretz”, według której — „von Horn może być powodowany do udzielenia Radzie Bezpieczeństwa odpowiadzi, które mogłyby stanowić przeszkodę w kontynuowaniu jego pracy”.

To właśnie był punkt, który mnie niepokoił. Przystąpiłem do podróży z poważnym wątpliwościami. Doskonale zdawałem sobie sprawę, co za pułapki mogą dla żołnierza stanowić kryzysowe pytania polityków. Przybyłem do Nowego Jorku 1 kwietnia i byłem za dowolony, że urzędujący sekretarz generalny U Thant podziela i rozumiał moje obawy. Ku mej dużej uldze zarządził też, abym na wszystkie pytania udzielił odpowiedzi pisemnej.

Następne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa wyznaczono na 3 kwietnia. Przydzielono mi prowizoryczne biurko

na trzydziestym ósmym piętrze gmachu ONZ (na tym samym znajduje się też sekretariat generalny). Odwiedziłem tam kilku starych członków Rady Bezpieczeństwa, a wśród nich także Michael Comay, pochodzący z Afryki delegat Izraela, człowiek o dobrych manierach i dzwicznym głosie. Wprawdzie mówił cicho o naszej „starej przyjaźni i znajomości”, ale przecież miałem pewność, że przyszedł mnie zastraszyć.

Nie powinienem — jak twierdził — upierać się przy tylu sprawach, o których wiem, że Izraelczycy są przeciw ko nim. Powinilem raczej posłuchać jego rady, bowiem w przełomowym wypadku życie moje mogłoby być w pewnej chwili zagrożone.

Dałem mu do zrozumienia, że potrzeba właściwie ocenić jego rolę w uwolnieniu groźby, jednakże próba za straszenia głównodowodzącego UNTSO, akurat na terenie ONZ, jest dla niego niepotrzebna stratą czasu. Wykorzystałem też na swój użytek wypowiedzenie pani Meir i oświadczyłem mu, że „nie jestem skłonny dać się popęchać”. Gdy Comay mnie pożełnął, przypomniałem sobie słowa, którymi Dag Hammarskjöld ostrzegł mnie w tym gmachu: „Myśl o tym, człowiek biedniejszy robił, gdyż Izraelczycy nigdy nie będą cie od serca popięrać”. I już wiedziałem, że mam oto w Comayu wroga, który polozy na szale całą swą sztukę przekonywania, aby w nadchodzącej debacie spowodował mój upadek.

Nigdy jeszcze do tej pory nie brałem udziału w posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa. Gdy więc 3 kwietnia o godz. 14.30 wszedłem do niemal pustej sali, byłem prawie tak przejęty jak turysta. Pytania nie były specjalnie denerwujące. Delegat Syrii, Zjednoczonej Republiki Arabskiej, Ghany i USA poslił mnie o szczere odpowiedzi, wyjaśnienia i opinie. Zapamiętałem sobie każde z pytań, chociaż wiedziałem, że służba stenograficzna wkrótce przedłoży mi je w pełnym brzmieniu na biurku na trzydziestym ósmym piętrze, gdzie będą miał czas na dobre wyważenie odpowiedzi. W kwietniu poproszono mnie raz jeszcze na obrady, Michael Comay przemawiał

w imieniu Izraela. Zaczął bardzo spokojnie, przedstawiając Izraelski punkt widzenia i poglądy na stosunki między UNTSO a władzami Izraela. Powoli nabierał jednak rozmachu. Zaczęto mówić o moim stwierdzeniu, że w strefie litaryzowanych strefie Nukelb nie ma żadnej umocnionej pozycji syryjskiej i wyłożył karty na stół: „Jesi urzędnik Narodów Zjednoczonych poddaje w wątpliwosc rzeczową wiarygodność mojego rzadu, to jest to dla mnie bardzo poważna sprawa. Chciałbym tutaj z całym autorytetem mojego rzadu stwierdzić, że odrzućmy każdy powatplewający wniosek, który mógłby być zawarty we wczorajszej wypowiedzi generała von Horna”.

Teraz wiedziałem już, że przeciwko mnie wytoczy się całą machina Izraela. Stałem się celem nieustannych ataków, które tak samo troskliwie planowano, jak operacje przeciw Syryjczykom. Stało się jasne, że o ile chodzi o moją funkcję dowodzącego siłami UNTSO — właściwie byłem już załatwiony. Odnosiłem wrażenie, że mój stary sparringpartner, pani Meir, zainicjowała całą tę kampanię — tym razem przy pomocy rekawicy o nieco większej wadze.

— Obecnie — objaśniał mnie mój bliski współpracownik Vigier — wsiadła na innego konika i rozgłasza, że sprawa przyjeździe może inny obrót, gdyby pan akurat tego dnia nie brał był udziału w pogrzebie swej małżonki...

To fałszywe oskarżenie zabolato mnie do głębi. Pomyślałem o tym; jak to Izraelczycy przygotowawali swój atak, podczas gdy moja żona leżała na łożu śmierci, jak utrudniali naszym obserwatorom dotarcie do areny ich haniebných operacji i wreszcie — mając pewność, że głównodowodzący jest na pogrzebie swej żony w Betlejem, a więc nie będzie im przeszkadzał — jak rozpoczęli swoje nocne natarcie.

Pewnego niedzielnego popołudnia w maju zaprzagnąłem wybrać się do kapieli, gdy oto oddane przy naszej bramie po stronie Izraelskiej adresowany do mnie list. Oficerem dyżurnym był Victor Mills. Ponieważ sadił, że jest to jakieś oficjalne pła-

mo Izraelczycy często przynosili lo właśnie w niedzielę, otworzył ów list — i znalazł maszynopis, w którym radzono mi opuścić ten kraj możliwie najszybciej. Jeśli zaś nie uczynię tego dobrowolnie do 20 maja, to zostanie mi jedyna tylko jeszcze możliwość: lwa droga: w trumnie. List nosił melodramatyczny podpis: „Reka Mściciel”.

Bledny Victor był zupełnie roztrzęsiony, gdy wręczał mi to pismo. Niezwykle miło ten list zaskoczył, ale poleciłm Victorowi, by przekazał ze izraelskiej policji. Zbędne chyba nadmieniac, że pisma tego nigdy już na oczy nie oglądałm.

Dwa dni później rozmawiałem z panią Meir.

— Generale — mówiła — nasza policja skrupulatnie wzięmie się za tę sprawę, aczkolwiek, mówiąc szczerze, uważa ją za wytwór jakiegoś szalenca...

— Możliwe, Madam. Ja również nie mam zamiaru spędzać z tego powodu bezsensownych nocy, ponieważ jestem przekonany, że odpowiednio instytucje przedsięwzją właściwe kroki. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że cała ta sprawa jest co najmniej dziwna...

Na oficjalnej płaszczyźnie bojkot kontynuowano bezilośnie. Przebywałem my tu, aby dawać świadectwo obiektywizmu i bezstronności. Ale spełnianie tej misji wywoływało wrogość wobec nas, gdyż Izraelcy oficerowie i urzędnicy mówili w dyskusjach: — Albo jesteście za nami, albo przeciw nam! Skoro więc odważyłem się być obiektywny, uważano mnie za „przeciw”. Jeszcze wstrętniejsza była ich skłonność do piętnowania obiektywizmu antysemityzmem — tą gotową ecykietką, którą przypinano każdemu żołnierzowi ONZ, jeśli jego raport nie brzmiał korzystnie dla Izraelczyków.



## Platynowy pierścionek

— Co panu jest? — zawołał zgorzchniony dyrektor. A mnie, podobnie jak i wczoraj, lątały ręce, koledzy i koleżanki twierdza, że mam twarz jak pokrytą szronem, szarą. Nie sprawdzałem tego w lustrze, ale wszystko to musi być prawda. Stałem przed biurkiem dyrektora, zaś upuszczony segregator z kwartalnymi sprawozdaniami leżał na podłodze. Schyliłem się by podnieść, palec moje był jak drewniana, straciły naturalną chwytność.

Dyrektor nie był zadowolony z człowieka. Pomógł mi sam sięgnąć po segregator, posadził mnie w krześle, nalał do szklanki wody i podał mi ją.

— Co panu jest?

— Trochę się opanowałem.

— Dyrektorze, to pan nie czytał dzisiejszej gazety?

— Czy ja mam na to czas! A bo co?

Wyciągnąłem zniży gazetę z kieszeni marynarki.

— O, proszę zwrócić uwagę na te notatki. Dyrektor powoli czytał na głos: „Obywatel Zenon Kantak (Poprzeczna 17, m. 2) zameldował milicji, że jego mieszkanie spalił złodziej. Ofiara niepożądanych gości padła czarne ubranie wizerunkowe, platynowy pierścionek z brylantem i złoty łańcuszek z kameą o dużej wartości artystycznej...” — Dyrektor skończył czytanie i podniósł oczy na mnie: — To bardzo panu współczuję! Rzeczywiście, obrabowali pana jak dranie! A ile ważył ten łańcuszek?

— Łańcuszek to nie, panie dyrektorze, ale kamea! Z czasów Stanisława Augusta! — Ile jednak ważył?

— Około trzydziestu gramów.

— Uuuu... Aż tyle! Osiemnaściorakowe?

— Osiemnaściorakowa, panie dyrektorze... Kamea do dyrektora nie przemawiała, za to złoty łańcuszek i platynowy pierścionek z brylantem zrobiły swoje. Poradził mi wyskoczyć do kawiarni i napić się mojej kawy, zaparzonej po turecku. Byczy chłopsi! Wszyscy zeszli w biurze głośno mi współczuli, choć także najmniej interesowała ich kamea. Nie mieli ciekawości dla samej sztuki, dla sztuki.

Niektórzy trochę się dziwili, że byłem posiadaczem takich skarbów, ani mój tryb życia, ani tym bardziej wygląd bynajmniej na to nie wskazywały. Szeptali zapewne między sobą: „Ten Kantak! Rzadko kiedy plasterek wędliny na jego chlebnie widzieliśmy, a jednak... Zawsze był zwichapec!” W mojej obecności zastanawiali się czy milicja odnajdzie sprawców. Dyskutowali o stopniu wykrywalności takich przestępstw, który podobno znowu się obniżył. Ja sam co do powodzenia akcji miałem wątpliwości i z tym się nie kryłem. Po raz nie wiadomo który opowiadałem, jak mnie przyjął porucznik milicji w budynku komendy dzielnicowej, jak po powrocie z biura początkowo nie nie zauważyłem, dopiero rankiem żona, Justyna, otwierając dwudzielną szafę, żeby wyjąć świeży sweter dla siebie stwierdziła, że nie ma mojego czarnego ubrania wizerunkowego. Potem okazało się, że zginęło coś droższego niż wizerunkowe ubranie. Złodzieje byli sprytni, żadnego po sobie nie zostawili rozgardiaszu, zamek w drzwiach zresztą otworzyli wytrychem. Przy otwarciu do zamka zostały tylko zadrapania na drzewie.

Potrzebowałem współczucia jak przechodnie saturatorów w czas upału. Wypadek doskonale usprawiedliwiał moja ziemista cera, roztrąnienie i wyraźnie zmniejszona zdolność do wykonywania obowiązków służbowych.

— A jak to przyjęła twoja żona?

— Justyna? O, ona jest znacznie bardziej opanowana. Żalowała raczej ubrania, gdyż mieliśmy w tym tygodniu dwa zaproszenia. Mój przyjaciel, profesor z akademii medycznej, obchodził imieniny i teraz co? Jak się pokazać? Przecież tam będzie sama śmietanka towarzyska...

Z tego powodu również bardzo mi współczuli. Zarówno młodzi, jak na przykład Śliwicka i Pataczek, obokani wielbicie big-beatu, jak i Florczak lub Mamonciakowa, którzy w swoim czasie siedzieli w katedrach.

Uśledzałem dyrektora, poszedłem na kawę. Jeszcze miałem zaskórniaka i do kawy zamówiłem kieliszeczek miętowego likieru, odwarzając jednocześnie w myślach przebieg ostatnich trzech dni. Chciałem przede wszystkim przeżyć współczucie, sympatyczną solidarność budzącą wzięczość dla nich wszystkich. Nie zupełnie mi się to udało. Desperacja i przygnębienie wylazło ze mnie nawet w dygotaniu palców, zapalających papierosa. Że też aż tak bardzo nie mogłem się opanować. Przecież mam doświadczenie, pieska wasza niebieska, to już drugi wypadek. A może i nie, drugi, tyle że o innych nigdy się nie dowiedziałem. Może to zdarzyło się wiele razy, ja zaś wpadłem na trop tylko tych dwóch? Gdyby nie syn, spakowałbym swoje rzeczy do fibrowej walizki, tej większej i bez pozeznania opuściłbym mieszkanie, wyjechał do innego miasta. Ostatecznie, kończę dopiero czterdzieści lat i mógłbym zacząć życie od nowa. Nie jestem przyzwyczajony do wygod, niewiele jem, wystarczy mi w zupełności bar mleczny, w osóle moje wymaganie względem życia są poniżej ułamlkowanych. Zawsze o tym mówi mi Justyna. W jej pojęciach jest to żart.

Czy jednak naprawdę chodzi mi wyłącznie o syna? Zapewne się ludzie. Nie mógłbym żyć bez syna i bez Justyny. Obojga potrzebuję. Od trzech dni wiem o tym na wylot wyraźnie. Dwa lata temu także o tym wiedziałem. Potem jakoś wszystko się ułożyło, przeżywałem straszne wydarzenia w

sobie, nikt nie było, tak mi się przynajmniej wydawało, po mnie nie zauważył. Moje gaśnicie i moje powracanie do zachwianej równowagi odbyło się we mnie. Ale tym razem widocznie się rozkleiłem, gdy tylko zaczęłem się jak zawsze witać z kolegami w biurze, od razu usłyszałem pytania:

— Coś pan taki nieswoi, panie Zenku?

Mogłem odpowiedzieć, że jestem po popojce i też nie byłoby źle. Nie spałem przez całą noc, w ciemnościach czułem się sam jak pies w studni, choć słyszałem oddech syna i Justyny. Przez całą noc szukałem w myślach znajomych i przyjaciół, z którymi udało się podzielić nieszczęściem, uzyskać radę i współczucie. Ale daremnie. Słyszałem tylko złośliwy chichot, szydercze epitety: Rogacz! Waria! Któż to bowiem podobne sprawy potrafi odpowiednio zrozumieć i uszanować!

Wiedząc jakoś samo przyszedłem mi na język:

— Wczoraj nam okradziono, kochani!

Wymieniłem, nie zastanawiając się, pierścionek, łańcuszek z kameą i wizerunek czarne ubranie.

— Byłeś w milicji?

— Jeszcze nie...

— Idiota, trzeba było zatychnąć, z rana lecieć z meldunkiem!

— Przecież nie opuszczę pracy!

— Idiota!

— Zrobisz to dziś, po godzinach biurowych...

Mamonciakowa chciała w moim imieniu iść do dyrektora, żeby mnie zwolnił, ale ja się uparłem, że odsiedzę swoje godziny i do piero wtedy...

Tego dnia nikt ode mnie nie było nie wymagał, kolech skwapliwie zlatwali moich klientów, panna Lusja, zawsze taka wżgar

żała obok tamtego listu, między sztuczna biżuteria Justyny.

Justyna najpierw twierdziła, że pisany do niej list jest stary. Ale ja przecież przed kilkoma dniami wyciągałem szufladkę, by przyjrzeć się pamiętacie z dzieciństwa.

— Nie kłam, blachol!

— On pisze o kawiarni, w której dwa razy z nim się spotkałem. Obiecał wystarać mi się o lepszą posadę. I tylko tyle...

— Skąd tyle dobrodziejów! Tamten też ci obiecywał lepszą posadę... — nie wytrzymałem choć kiedyś przyrzekłem, iż nigdy o nim nie wspomnę.

Justyna zaczęła atakować, uciekając się do lez:

— A co my mamy z życia! Jesteś niedorajda. Nie potrafisz nawet znaleźć lepszego stanowiska. Nie wiążemy końca z końcem, a Jurek rośnie!

— Jak wygram w Toto-Lotka, wszystko się zmieni!

— On wygra! On wygra w Toto-Lotka! Od trzech lat to słyszysz...

— Trzeba mieć cierpliwość. W końcu los się uśmiechnie. Los lubi nagradzać za cierpliwość...

— Fajol!

— Blacha!

I przestaliśmy rozmawiać, jeśli to się da nazwać rozmową.

Teraz jednak musiałem Justynie opowiedzieć o moim meldunku, złożonym w milicji. Gdyby zwrócono się do niej, powinna potwierdzić moje zeznania.

— Czyś do reszty zwarował, żeby wyskoczyć z taką bujda! I mnie chcesz wciągnąć w przestępstwo?

— To ty... ty, Justyno, wciągnął mnie w bagno, w przestępstwo, we wszystko, co najgorsze!



dliwa, poczesowała przez siebie przyrządzoną herbatą. Nawet w szatni na dole ustąpił mi kolejkę.

Jednak po pracy musiałem udać się do milicji. Nie można było inaczej postąpić. Spisano protokół, sierżant przyszedł ze mną na wizję lokalną. Dobrze, że jeszcze nie było syna i Justyny w domu. Syn chodzi do szkoły po południu, a Justyna zwykle marudzi na mieście, może ze względu na sprawunki, a może znowu, choć zaklinała się, poszła na spotkanie z tym jakimś Stasiem, którego Niemilosimie skonałbym, gdy bym wiedział kto nim jest. Nie zastanawiałbym się nawet gdyby to był bokser wagi, powiedziałem, średniej. W takich wypadkach ma się podobno nieudłuka siłę. Ale to nie był bokser skoro pisał takie czułe listki. To był na pewno jakiś stwiłowosy grubas z samochodem jak przed dwoma laty. Oni są sentymentalni dla cudzych żon!

— Wiesz przyjdź, Justysiu, tak jak i wczoraj. Będę na Ciebie czekać przez cały wieczór. Od czasu, jak Ciebie poznałem, stałe tylko myślę o tym, kiedy się spotkamy...”

Wiecej z tego listu nie mi pamiętam. Podarłem go na strzępy i spuściłem po nim wodę. Taki jednak byłem roztrąniony i rozszalony, że razem z nim podarłem i jedyną pamiętkę moich lat przedwojennych. Podarłem, wolać: „Na co mi teraz to wszystko!” A fotografia? Bardzo byłem do niej przywiązany. Stoimy na drewnianym gancezku własnego domu: ojciec, matka, Zośka i ja w harserskim ubranku. Tylci chłopczaki!

Sierżant dokładnie rozejrzał się po mieszkaniu, nawet przyjaźnie się odezwał:

— Po cóż pan trzymał takie cennosci?

— Dla syna, panie sierżancie.

— Syn sam da sobie radę. Jąbym na pańskim miejscu kupił przyzwoite meble do mieszkania, telewizor...

— Nie jestem domatorem, drobnomieszcząństwo mnie nie kus!

— Aha!

Ta wypowiedź fotografia to jedyny świądełwo mojej przeszłości, do której w gorzkich chwilach życia mogłem się odwoływać. Dowód na to, iż był kiedyś drewniany domek w niedużym sadzie w pewnym miasteczku, byli jego właściciele: matka z ojcem, był spakobiercy, Zośka i ja. Został tam teraz tylko plac, gdyż domek spłonął w czasie wojny, ojciec zmarł w oflagu, a Zośka, po wywiezieniu do Niemiec na roboty, znalazła się u ciotki w Anglii. Z Zośką wymienialiśmy serdeczne listy, przysyłała prezenty dla mego Jurka. Miała nas, po tylu latach odwiedzić. Nieraz też fotografię pokazywałem synowi, żeby coś wiedział o swojej genealogii, ale on nie bardzo się tym interesuje, chodzi dopiero do piątej klasy. Trzeba trafiać, iż w szufladzie fotografia le-

rychło przekonałem się, że takimi wzbuchami nic nie osiągnę. „Justyno, zacząłem błądzić, przecież nie chcemy się rozstać, musimy z honorem wybrnąć z położenia. Ja ci i tym razem wszystko wybaczę, jeżeli przyrzeknieś mi że uczyniłaś to po raz ostatni, ale ten meldunek był konieczny; nie chciałem, żeby nasze sprawy wyszły na jaw”.

— A kto o nich mógłby się dowiedzieć?

— Wszyscy?

— Od kogo?

— Choćby ode mnie! Nie wytrzymałbym, opowiedziałbym... Taki jestem samotny. Wole żyć z wami współczucie, niż szczydństwo... Justyna jak gdyby się uspokajała. Zaczęła zmywać naczyńia, bo kłóciliśmy się w kuchni.

— Po co ci była jeszcze do tego jakaś kamea?

— Zniszczyłem moja fotografie. Fotografia to imponowalność. Jest takie słowo. Straty fotografii to już na pewno nikt nie zrozumiałby. Zresztą, z tą kameą to mi się nie udało, nikt się nią nie przejął. Takie to czasy. A w ogóle, o kradzieży powiedziałem bez zastanowienia, sam mi to jakoś przyszło na język. Potem musiałem być konsekwentny. Widząc, że Justyna się waha, dodałem: — Ciebie nie będą nawet nagabywać. Nie wykryją przecież kradzieży, więc po rabanie!

W biurze nadal trzezonno się o moje samopoczucie, a właściwie o złoty łańcuszek i platynowy pierścionek.

— Panie Zenonie — powiedział dyrektor — chcielibyśmy jakoś panu pomóc. (Czy po mojej, gdyby się dowiedzieli, że jestem tylko rogado i waria?) Postarałem się o premie dla pana i o skierowaniu do domu wypoczynkowego w Krynicę. Może znowu nadejda mrozy i spadnie śnieg, a wtedy będzie tam pięknie, poczujesz się pan jak młodzieniec...

— Dziękuję, panie dyrektorze, za troskliwość. Doprawdy, jestem głęboko wzruszony. Można żyć, gdy się człowiek spotyka z taką uczynnością...

Dyrektor uśmiechnął się tym razem jak gdyby sam do siebie, aż przyzmuzył świąskie oczy, a mnie przypomniało się, że ma on na imię Stanisław. I dwukrotnie tańczył z Justyną w Dniu Kobiet. Spróbowałem:

— Panie dyrektorze, Justysiu... (bo tak przecież było w liście)... kazała pana pozdrowić!

— Jaka Justysiu?

— Justysiu! Tańczył pan z nią w Dniu Kobiet. I nazywał ją pania Justysiu...

— Jako dyrektor musiałem z tyłoma kobietami tańczyć, że proszę mi darować, ale nie wiem, o kogo chodzi...

— Nie udało się, wyglądało na to, że nie on.

Świąskie oczka zmieniły się w zwyczajne szare oczy starszego wiekiem mężczyzny.

No i nadeszły po deszczach przymrozki, potem znowu odwilż, napadało śniegu do jasnej cholery. Nasza kapryśna zima jakoś się ustakowała. Śnieg, najpracowitszy dekark, pokrył grubą warstwą zabudowania, drzewa i ścieżki.

Z tą Krynicą to był wcale dobry pomysł! Niekiedy wydawało mi się, że cały wtapiam się w śnieg. I wtedy czułem się doskonale. Jakimby nie był Zenonem Kantakiem, godzinami lażłem po zalesionej półrze, schodziłem z wydeptanych ścieżek, wpadałem w zasy. Spóźniałem się na obiad, gdyż mi na nim nie zależało. Apetyt nie służył.

Żyłem jak śniący, dużo spałem i wtedy, gdy po pokoju kręcili się wczesowi współlokatorzy. Sen mi sprzął, sprzyjało widocznie temu powietrze, to moje szczęście.

Gdy trochę się odzyskałem, wprowadziłem regulamin w mój tryb wczasowy. Sasiadkom od stołu powiedziałem, że mam wrzód żołądka i pitem trzy razy dziennie Zuberę. To coś takiego jak zgnie jak w stanie płynnym. Ale polubiłem Zuberę, wstrząsał mna za każdym razem, budził wstęć, picie tej wody mineralnej wydobywało mnie z apatii. Z rana, gdy się budziłem, sięgałem po plastikową flaszkę z zapasem wody. Przed obiadem i przed kolacją brałem udział w zbiorowym ceremoniale, jaki się odbywał w pijalni przy akompaniamencie orkiestry.

Zwłaszcza panna Zośka, ekspedientka z Sa noka, współczuła mi, że muszę pić takie świństwo. Idiotka, gdyby wiedziała, co niedawno zaszło w moim życiu, na pewno za domni plecami śmiałaby się wraz z innymi:

— Rogacz! I waria! nie może przecież przeboleć straty jakieś fotografii...

O dziesięć, po otwarciu kawiarni, zajmowałem stolik dla siebie. Potem kawiarnia się zaludniała, pytało mnie:

— Czy można się przysiąść?

Odpowiedź zależała od mego humoru. Czasem zezwalałem, a czasem odpowiadałem:

— Niestety, czekam na kogoś...

Ze mnie zdemaskuje milicja jako mistyfikatory, wprowadzającego w błąd władze, tego wciąż jeszcze się nie bałem. Przez jakiś czas taka możliwość nawet mnie cieszyła. „Widzisz, Justyno, do czego ty doprowadziła...” mógłbym krzyknąć do żony niezliczoną ilość razy i miałbym rację. A poza tym: Hez przez tę kawiarnię przewijało się aferzystów i hochsztaplerów, którzy bezkarnie używają życia. O, choćby tamten w zagranicznym swetrze z tamą w fantazyjnej kurteczce! Jak to bezcelnie kuprem wierci. Jak się obliżują językiem, jak polują na siebie oczami: on zostawił gdzieś żonę z dziećmi, a ona pisuje czułe listy do męża...

Natręci, widząc przez dłuższy czas puste miejsce przy moim stoliku, tracili opanowanie:

— Zdażylibyśmy wypić kawę...

Powoli spoglądałem na zegarek.

— Rzeczywiście, ona chyba nie przyjdzie. Zasiadła się u fryzjera... Wszędzie te kolejki. Więc proszę!

Ale zdarzało się, że przypadkiem zjawiała się w takim momencie panna Zośka, która również lubiała kawę. Wtedy, patrząc wyzywajaco na natrętów, z przesadą w głosie wolałem:

— Czekam, panno Zosiu- Jak pani ładnie w tej czapeczce...

Była zaskoczona, ale i zadowolona. Uda waletem, że bardzo nią się interesuje. Że jestem taki sam, jak oni, buńczuczni, natrętni i bez wychowania!

Pewnego razu, gdyśmy się spotkali na korytarzu domu wczasowego, panna Zośka powiedziała:

— Chce pan zobaczyć jak mieszkamy? — I obiecując uzupelniała: — Moje panie poszły na kapiele...

Odpowiedziałem, że kiedy indziej, gdyż na razie się spieszę.

Panna Zośka spojrzała na mnie jak na straszdyło.

Ani razu nie napisałem do domu. Po co? Kiedy zaś wróciłem z wczasów, czekało na mnie wezwanie do milicji.

Widocznie doszedłem do jakiegoś ładu ze sobą, gdyż zadrzałem. Więc wszystko się wydało! Justyna wpadła w szloch. To mi znowu przywróciło równowagę.

Przyjął mnie ten sam porucznik. Uśmiech niety, zadowolony. „Cieszysz się, bratku, żeś przyharapczył sobie nowa ofiarę!” — tak pomyślałem, wzmagając czujność.

— Niech pan opowie, jak wyglądał pierścionek? Jaki to był łańcuszek?

— Przecież wtedy dokładnie zaprotekowała się.

— Jednak...

Postarałem się powtórzyć zeznanie. Może to nawet dobrze wypadło. Porucznik podszedł do pancerniej szafki. Z triumfem położył na stole, który nas oddzielał, jakiś pierścionek i łańcuszek z kameą.

— Pańskie?

Położyłem na wysunięty przed siebie dłoń łańcuszek i pierścionek. Były piękne. Pierścionek migotał. Jeśli to nie pułapka, a nawet jeśli i pułapka, czy nie warto byłoby zarzykować? Przekonałem się, co z tego wyniknie? Platynowy pierścionek i łańcuszek odpowiadały mniej więcej memu opisowi. Zabrać i rzucić to w oczy Justynie!

Zauważyłem jednak, że porucznik przygla da mi się teraz spode łba, zniknął jego uśmiech. Po chwili ciszy w jego głosie wyczułem ironię:

— A ubrania, niestety, w melinie nie znalazliśmy, zdażyli, je przepić...

No, przecież wyraźnie ironizował. Cedziłem tedy słowa powoli:

— Niby te, a jednak to tylko podobieństwo, panie poruczniku. Inny trochę kształt ogniwek... o, proszę spojrzeć... pierścionek dokładnie pasował do mego mełego balca, a ten... Kamea miała inny profil kołocy...

— Bardzo żaluje...

— Ja tym bardziej, panie poruczniku!

Po wyjściu przed budynek serdecznie się rozeźmiałem. Głośno i serdecznie. Po raz pierwszy od jakichś pięciu tygodni. O, mego pierścionka i mego łańcuszka nikt z nich nie odnajdzie. A kamee z reliefem kobiecej głowy o łagodnym profilu, ozdobionej lekkimi blond lokami, będzie musiał sobie kupić. Kupić albo ukraść. Każdy musi coś mieć dla siebie.



**MIROSLAW OSTOJA OCHOCKI**

Szkice  
Jerzego  
Wyszomirskiego

Świetność języka: język suty, wystawny, serwujący w każdym zdaniu słowa i zwroty, które radują czytelnika, fetujący raz po raz przednim epitetem i to w sposób pozwalający się domyślać, że pisarz ma ich jeszcze dużo na podorędziu; kunszt prozatorski wedle najlepszych wzorów XIX-wiecznego rzemiosła gdzie z góry ustalano spadki zdań; gietkość i pojemność frazy, wchłaniającej bez trudu i cytaty i obcojęzyczne wstawki lub niepostrzeżenie przechodzącej w dialog, ujętej w rytm zawsze bezbłędnie wyliczony i odzwierciedlający tok emocji piszącego; mistrzostwo kompozycji: niezawodna umiejętność łączenia ze sobą w jednolity tekst różnorodnych elementów i to w takich proporcjach, by dały one ten właściwy ton, który, niezależnie od komentarza, ma wyrazić stosunek autora do podjętego problemu — oto najbardziej oczywiste cechy szkiców Jerzego Wyszomirskiego. Nie tylko najbardziej oczywiste. Także, jeśli idzie o rangę tych szkiców na dziś — cechy najważniejsze. Mimo, że zajmują one tylko część rejestru zalet felietonistyki Wyszomirskiego.

Tematyka szkiców i felietonów „Spod kreski” jest rozległa — literacka, obyczajowa, społeczna — bardzo różna też jest waga spraw, o jakich mówią, lecz z miejsca widać, że napisał je l'homme de lettres, człowiek literatury. Mam tutaj na myśli ów specyficzny sposób widzenia świata — konkretów i abstrakcji — wytyczający granicę, od której zaczyna się literatura, bez względu na to, przez jakie formy — felietonu, notatnika, czy artykułu, granica ta by nie przebiegała — pisarSKI profesjonalizm, który daje o sobie znać zawsze, lekkoć pisarz zabiera głos. W tym sensie szkice i felietony „Spod kreski” mieszczą się, co do jednego, w kręgu literatury; są przede wszystkim zapiskami pisarza. I stąd zapewne ich świeżość, która wciąż każe dziwić się datom, przypominającym, że powstały przed trzydziestu laty.

Rozległość zainteresowań Wyszomirskiego, jego intelektualna ruchliwość i typ jego inteligencji — czujnej i chłonnej, okoliczność, że pisywał swe felietony przez lata, regularnie, z tygodnia na tydzień i, że mógł w nich ujawniać swe pasje, spostrzeżenia, poglądy z zupełną, jak się zdaje, swobodą, wreszcie fakt, że felieton jest formą, dająca szczególną okazję do uzewnętrzniania nastrojów (i o tyle intymną) — wszystko to sprawia, że felietonistyka Jerzego Wyszomirskiego, w każdym bądź razie ta jej część, która zaprezentowała nam Huszcza i Koprowski, utrafia, jeśli nie w konwencji stricte sensu, to w klimat dziennika pisarza.

A dzienniki i notatniki pisarzy stają się rosnąc z roku na rok potrzebą literatury, „Carnets” Camusa frapują dziś bardziej, niż jego „Obcy”. Nie za sprawą pisarstwa Camusa. Za sprawą naszych gustów. Ciekawość biografii, które obrodziły powieściami, poezją? Zapewne, choć już nie taka, jak wczoraj. Życie się demitologizuje. Ciekawość tego, co jest po tamtej, niewidocznej stronie formy? Oczywiście. Choć w coraz mniejszym stopniu. I literatura i teatr obnoszą się na co dzień ze swym warszatem. W pierwszym rzędzie — potrzeba literatury nieskonwencjonalizowanej. Gdybyż taka mogła istnieć! Więc przynajmniej literatury, która właśnie się konwencjonalizuje, literatury in statu nascendi. Przy tym opus vitae pisarza nie musi już patronować jego notatnikom. Zainteresowanie niml bywa coraz częściej nie zależne od głównych dzieł autora. Procesowi temu towarzyszy widoczna rewaloryzacja dotychczasowych marginałów literatury, także felietonu. W każdym bądź razie ich konwencja jest w cenie. Czerpią z niej gatunki „centralne”. Chociażby powieść esejistyczna.

Oto tio, na którym trzeba nam umieścić felietony i szkice „Spod kreski”. Zarysowuje się na nim wyraźnie ich aktualność, niezależna od przebrzmiałej często problematyki, aktualność literacka. Świadczy ona o randze pisarza, widocznej w świetle naszych dzisiejszych upodobań. Tom Jerzego Wyszomirskiego ukazał się we właściwym momencie, co do tego nie ma wątpliwości.

„Spod kreski” — to znakomita książka. I, na swój sposób, dziwna. Wciąż tak, jak czasem wciąż powieść. Z felietonu na felieton, z rosnącym zaciekawieniem, śledzimy przygody bohatera, a Jerzy Wyszomirski jest bohaterem, który intriguje. Przygody nie tylko intelektualne. Tysiące drobnych incydentów, osobliwości, ciekawostek, na jakie napotyka się w czasie podróży. Zwłaszcza, gdy się umie patrzeć. Wyszomirski umie patrzeć. I jest wciąż gdzie indziej. Dopiero co gawędził z Bujnikiem na ulicy Wilna, a już telepie się w polyniakem w stronę Lachowicz. I zaraz dziwi się krakowskiemu kelnerom, że nie czytają za plecami z karafką. I znów literatura, prezentowana z pasją, ze znanstwem, z rozmachem: Tuwim, Saitkow-Szczedrin, Brzokowski i pozycja integralna, Gajowiczyska, Ignazio Silone, Dąbrowska, Hercen, Szanławska, Gogol, Iwaszkiewicz, Panzini, Cocteau. O literaturze Wyszomirski wciąż mówi, ani na chwilę nie przerywając podróży. Podróż zachłannej, niespokojnej i chaotycznej — jej marszrutę wyznacza ciekawość świata. Sylwetki pisarzy, tytuły ich dzieł, fragmenty wierszy pojawiają się wraz z nim w redakcyjnych pokojach, w paryskim kinie, na ulicach włoskich miasteczek, w podkarpackim Strzyżowie. Strofy Rilskiego rozlegają się w wileńskiej synagodze. W ubogim krajobrazie Kołpienicy, widziane przejazdem, z bryczki, niby w niespodzianym ramie, ukazują się „Dziady” Mickiewicza. Właśnie w tych ramach ze zmieniających się miejsc, z ich nástroju — literatura zjawia się nagle odnowiona, w niezwykłym świetle, w zbliżeniu, które wyolbrzymia szczegóły, albo w ogromnej perspektywie.

Przynajmniej tyleż samo, co o literaturze, mówi Wyszomirski o świecie, który z taką pasją penetruje. Więc przede wszystkim o Polsce doby międzywojennej. O najrozmaitszych jej problemach. Z imponującą erudycją, z troską, z obywatelskim poczuciem odpowiedzialności za to, co jest. I z przenikliwością urodzonego socjologa.

W miarę jak czytamy „Spod kreski”, z barwnych kawałków mozaiki, jakimi z natury swej są felietony, wyłania się wizerunek pisarza, do tyła intrygujący, że coraz to wracamy wstecz, by uzupełnić go jakimś zapomnianym sformulowaniem, intonacją jakiegoś zdania. Rzecz jasna, jest to wynikiem nie tylko waleń pisarstwa Jerzego Wyszomirskiego, ale i samej konstrukcji, doboru i układu felietonów i szkiców. Oczywiście to zasługa Jana Huszczy i Jana Koprowskiego. Ich też dziełem jest doskonały wstęp. Z prostotą naturalną dla długotrwałej przyjaźni, jaka łączyla ich z autorem, Huszcza i Koprowski kreślą jego bardzo autentyczną sylwetkę; pieczołowicie rekonstruują jego biografie, zwłaszcza literacką, odwołując się i do dawnych recenzji i do osobistych wspomnień i do anegdoty; przypominają twórczość poetycką Wyszomirskiego; charakteryzują obszerne jego felietonistykę i epokę, w jakiej się rozwijała. Jest w tym wstępie jakaś nuta powściągliwej prawdomówności — i ona wydaje mi się być szczególnie cenna.

Szkice i felietony „Spod kreski” są wielowarstwowe i można je rozpatrywać w wielu aspektach. Także w aspekcie historycznym. Mnie jednak chodziło o to, by wyeksponować te elementy, które, moim zdaniem, decydują o literackiej aktualności szkiców Jerzego Wyszomirskiego dzisiaj i zdecydowały — wierz w to — o ich aktualności jutro: elementy pasjonującego dziennika pisarza.

\*) Jerzy Wyszomirski: „Spod kreski”. Wybór szkiców i felietonów. Wyboru dokonali i wstępem opatrzyli Jan Huszcza i Jan Koprowski W.L., 1967.

**ROMAN ŁOBODA**

**Dwie strony świata**

Bałucki wytarł się jak stara, ale solidna i dobrze skrojona kapota. Toteż można jeszcze wejść do teatru w takim garniturze, nie wywołując złośliwych uśmiezków.

Do samobójstwa doprowadziła Bałuckiego młodopolska krytyka, mimo że był on już bez mała żelazną pozycją w repertuarze teatrów, w szczególności w Krakowie i Lwowie. Już wówczas, pod koniec XIX w. schemat mieszczańskiej dramaturgii wydawał się wyeksploatowany i budził niechęć nie tylko w kręgach młodopolskich. Zarzucano Bałuckiemu pisanie pod publiczność, która „wala” na jego sztuki.

Bałucki wcześniej i dość szybko zorientował się, że trudno mu będzie wejść na sceny teatrów. Jeżeli nie stępi ostrą satyrę kierowaną głównie w arystokrację i mieszczaństwo. Idzie na kompromis i zaczyna zaprawiać ironią, i wyrozumiałym pozbłażaniem. Staje się plewca próżności i chaotycznej — jej marszrutę wyznacza ciekawość świata. Sylwetki pisarzy, tytuły ich dzieł, fragmenty wierszy pojawiają się wraz z nim w redakcyjnych pokojach, w paryskim kinie, na ulicach włoskich miasteczek, w podkarpackim Strzyżowie. Strofy Rilskiego rozlegają się w wileńskiej synagodze. W ubogim krajobrazie Kołpienicy, widziane przejazdem, z bryczki, niby w niespodzianym ramie, ukazują się „Dziady” Mickiewicza. Właśnie w tych ramach ze zmieniających się miejsc, z ich nástroju — literatura zjawia się nagle odnowiona, w niezwykłym świetle, w zbliżeniu, które wyolbrzymia szczegóły, albo w ogromnej perspektywie.

Bałuckiemu starczyło siły i chyba talentu, żeby w rzecznych i pełnych wdzięku konstrukcjach przekazać interesujący opis naskórka obyczajowości epoki, żeby stworzyć wiele charakterystycznych i plastycznych postaci znakomicie poddających się obróbce aktorskiej. Akcja w komediach Bałuckiego toczy się lekko i z werwą. Sytuacyjny dowcip

nie grzeźnie na miedzianach i sprawnie dąży ku poincienne. Nie jest to małe, lecz stać go było na więcej, zarówno formalnie jak i treściowo. Napaści współczesnej Bałuckiemu krytyki, dotyczyły i jednego i drugiego, z tym, że rozdziły się raczej z postaw artystowskich ze skrajną krytyką młodopolską na czele.

Sądze, że obrany przez Bałuckiego kompromis i pewne kunktatorstwo artystyczne mogły napawać go większą niechęcią do życia, niż napaści krytyki.

„KLUB KAWALERÓW” jest ostatnią, przed samobójstwem, komedią Bałuckiego; jest typową zarówno w słałości jak i sile jego komediopisarstwa. Jest to komedia o tych, którzy nie chcieli, ale ulegli przemocy. Potęga kobiecego sprytu parta tym, o czym mowa nie tylko w „Klubie”, przetrasta odporność przeciętnego przedstawiciela płci męskiej. Klęka panów kawalerów jest absolutna. Migiem zmieniają przekonania i truchcikiem pędzą do ołtarza wdzieków niewieścich, gotowi dźwigać to jarzmo z blagim uśmiechem uszczęśliwienia.

Prawda starsza od słowa pisanego, moralność wysokiej rangi społecznej. Tylko dzięki konsekwencji, nieustępliwości i sprytowi kobiet (?) świat trzyma się kupy.

Bałucki przetrwał jako plewca spraw, które znamy i malarz obrazów, które są częścią historii. Zatem rolę w sztukach Bałuckiego są do grania, co też widzieliśmy na premierze w Teatrze Powszechnym, widzieliśmy się różnie gdzie indziej w podobnej interpretacji.

Cóż, sposób. Na komedie obyczajowej, pisane w konwencji „fotograficznej” niewiele jest sposobów. Zaczynajmy od wdowy i z należytym szacunkiem:

Irena MALKIEWICZ ani na włos nie zesłała z drogi gracji, wdzięku, elegancji i cnoty wdowieńskiej. Scenę afektu matrymonialnego odegrała w godnym podziwu „pomieszanu” wstydlivej ochności z rozważnym taktem. Jej córka Marynia: TERESA KAŁUDA nie szła śladami matki. Mniej miała tego, co ujmowało, więcej tego co denerwowało! Ale miłość ponoć jest ślepa. Władysław Topolnicki czyli MICHAIŁ SZEW CZYK i tak ją kochał zawzięcie, aż wreszcie wziął ją sobie. Robił to dobrze — nie zdarnie, jak przystało na inteligentnego chłopca, którego „zakolowała” dziewczyna. Inni panowie z „Klubu Kawalerów”: SOBIEŃSKI, ALEKSANDER FOGIEL, PIORUNOWICZ, WŁODZIMIERZ SKOCZYŁAS; Wygodnicki, Zbigniew NIEWIEZAS; Nieśmiałowksi, JANUSZ KUBICKI; Motyliński, MIROSLAW SZONERT — byli dobrze osądzeni w epoce i przedstawieni.

Pelagia Dziudziłłńska, Jadwiga Andrzejewska jak zwykle — sprawni i zabawni. Jadwiga Siennicka w roli bufetowej wdzieczna; Luejan Wierneć, Ryszard Zuchowski, Henryk Kurowski, kelnerzy — wszyscy ujmujący w swych rolach.

Żebyż taki personel w naszych lokalach!...

Cóż więcej można wycisnąć z Bałuckiego, cóż?

Scenografia: JANA MARCINA SZANCERA dowcipna i pomysłowa.

**A TERAZ „HAPPY END” W TEATRZE NOWYM**

Sztuka zaopatrzona pseudonimem przez autora „Opery za trzy grosze”. Nie jest ona wszelako warta nawet całego grosza, mimo że dźwięczy w niej ton tamtej znakomitej sztuki. Komedia mu zyczna z nie najlepszą muzyką, „farsa apaszowska” bez rewelacji środowiskowych — „heroicznych a krwistych” bandziorów, złodziejzisków, demokracji i prostytutek o wielkich sercach.

Ważna psychologia i poezja tego środowiska w „Happy Endzie” nie mędnije nawet w zderzeniu z Armia Zbawienia, której groteskowość nie grzeszy doskonałością.

Tak się złożyło na tym „najlepszym ze światów” że jedynie przyrównując coś do czegoś wiemy coś o czymś. Nie mając możliwości porównywania albo nic nie wiemy,

albo wiemy na pewno — na przykład, że nasz świat jest najlepszy. Mając materiał porównawczy, mamy miarę i wagę. Mierzymy bezpośrednio, pośrednio, w tyt, wspan, wielokrotnie tudzież prehistorycznie. Ze w tej permuacji całe roje drobnych i większych oszustw, to już inne zagadnienie.

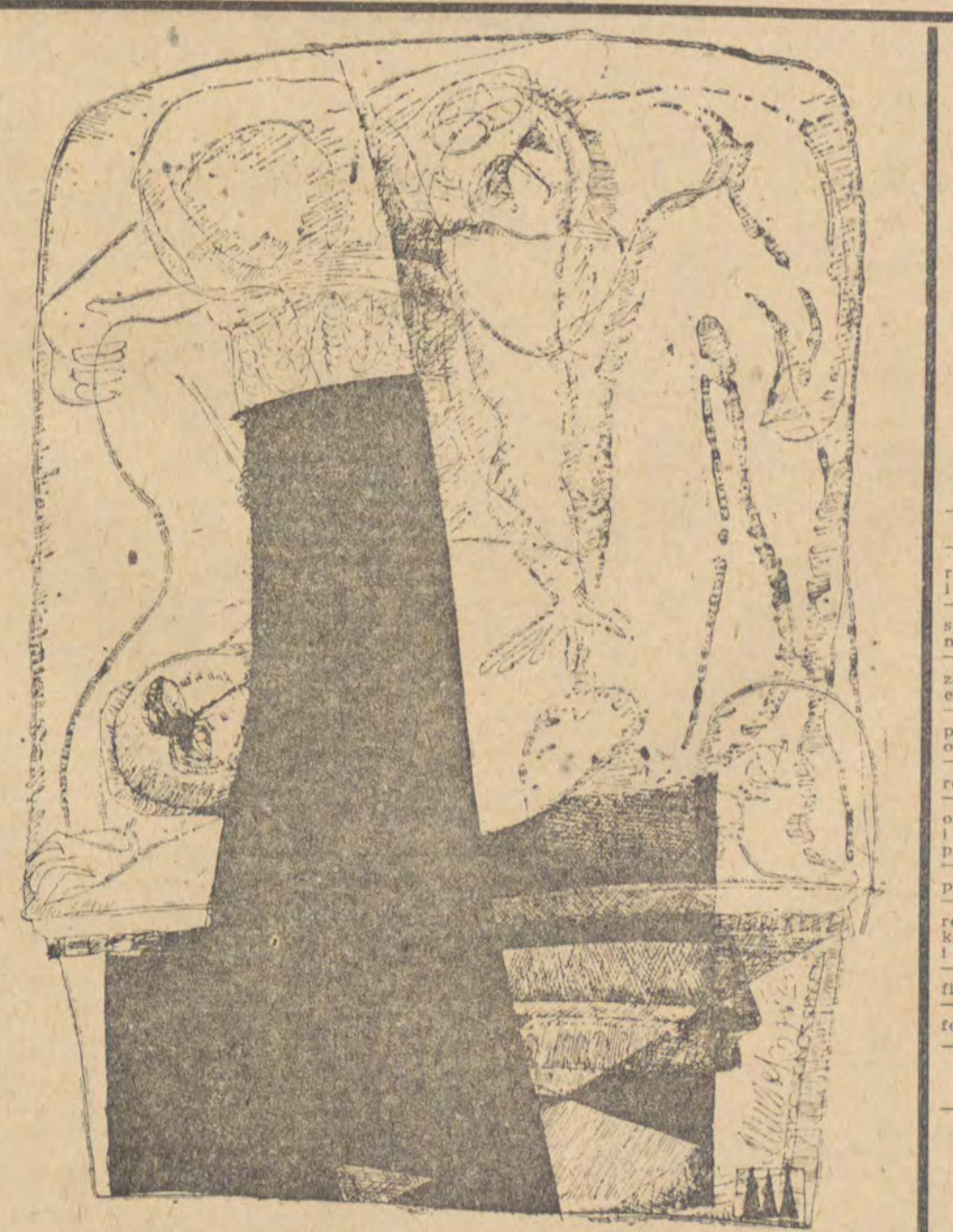
„Happy End” swoją nikłość zawdzięcza bezpośrednio okazyłości „Opery za trzy grosze”. Pośrednio zaś (i tu wszystko zależy od podstawianych do porównywania wartości, zatem każdy może wygrać swoją rację) sztuka ta jest wcale wdzieczną w oglądaniu zabawą. W tym „duchu” wyreżyserowano „Happy End” i w tym stylu zagrano tę komedię muzyczną.

Trzeba przyznać, że gra aktorów, tempo, a nawet wstawki muzyczne uświetniły dzieło lewej ręki Bertolda Brechta, tzw. Dorothy Lane. Wreszcie artyści wspólnymi siłami podpierali ten pułap. Kapitałny był Ludwik Benoit jako Sam Worlitzer. Bohdana Majda (Szara dama) bez pudła trafiała w ton groteski i farsy. Bogusław Mach jako Johnny Flint sprawdził się po dłuższej niebytności na deskach teatru. Ryszard Dembiński, Zygmunt Zintel, Wojciech Pilarski, Dobrosław Mater i Bolesław Nowak — to była zgrana ferajna. Armii Zbawienia przewodził major Stanisław Lapiński, a piękny głos i godną postawę zaprezentował Jan Tesarz. Oszeplony wdziek demonstrowali bez kompleksów panie: Izabella Pieńkowska, Barbara Gołębiowska i Elżbieta Starostecka — idealne predyspozycje do służby w Armii Zbawienia. Podobnie Renata Maklakiewicz znalazła odpowiedni wyraz dla Miriambarmanki.

W końcu rzecz można, że ta druga pogorszona wersja — „Opery za trzy grosze” została wiribus unitis poprawiona.

Scenografia: Aliny Ronczewskiej też pomysłowo pod pułapem.

Michał Bałucki — „Klub Kawalerów”. Reż.: Jerzy Wróblewski, scen.: Jan Marcin Szancer, Państw. Teatr Powszechny „Happy End” Dorothy Lane. Reż.: Teresa Zukowska, scen.: Alina Ronczewska. Teatr Nowy.



Rys. Michał Suarman

**DROGI CZYTELNIKU!** Redakcja prosi Cie o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cie interesują, i które uważasz za dobra; redagowane. Znakiem minus (-) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cie również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelników Łódzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów”, na adres: Łódź, ulica Piotrkowska 96.

	+	-
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obyczajowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
felietony		
O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach”?		
Nazwisko i imię	.....	
wiek	.....	
zawód	.....	
adres	.....	



## JESZCZE O FILMIE CZECHOSŁOWACKIM

Znaczenie współczesnego filmu czechosłowackiego wykazał znacznie poza obszary samej sztuki filmowej. Broni ono bowiem konsekwentnie tych głęboko ludzkich, antro-pocentrycznych, rzec można, pozycji, z których słopniowa, w coraz większej mierze rezygnuje sztuka współczesna. Sztuka dzisiejsza staje się do meną przypadkiem, zabawą, gry, w najlepszym razie eksperymentu natury czysto formalnej. Technika artystyczna wy-daje się być sprawą najważ-niejszą, celem samym w so-bie.

Z jednej strony obserwujemy zjawisko podporządkowy-wania sztuki propagowaniu ideałów cywilizacji konsumpcyjnej, niszczącej wartości jednostkowe, niepowtarzalne. Z drugiej zaś strony jesteśmy świadkami zamykania się sztu-ki w ciasnym kręgu własnych doświadczeń. W obu przypadkach odchodzimy od klasycznego humanizmu, który inspirował wszelkimi najwik-sze dzieła stworzone ręką i umysłem człowieka. Żyjemy wprawdzie w czasach, które dostarczyły sporo prze-łamań nakazujących zwątpić w szlachetne i racjonalne ją-dro ludzkiej natury. W pie-cach krematoriów, w katow-niach obozów koncentracyj-nych rozwinęły się nasze wyobrażenia o wielkości i wspra-niałości człowieka. „Ludzie ludziom zgotowali ten los” — powiedziała nasza mądra pi-sarka. I było to najokrutniej-sze z oskarżeń.

A jednak wiara w człowie-ka jest tym, co jedynie może przywrócić sens naszemu istnieniu. Nowy film czeski, zrodził się z wiary w człowie-ka — gorzkiej i trudnej, a nie lakonicznej i ulatwionej. Tej wiary szukali czescy filmowcy w latach najcięż-szych — w czasach pogardy, w okresie wojny. W takich filmach jak „Śmierć nazy-wa się Engelchen”, „Ściep przy głównej ulicy”, „Dzwony dla bosych”, „Wóz do Wiede-nia” itd. stereotypowe widze-nie spraw wojny podlega re-wizji. Tragedie zbiorowości ukazują się przez pryzmat tragedii jednostki. Racje zbio-rowsze zastąpione zostają racja-mi indywidualnymi. W ten sposób i odpowiedzialność spa-da także na barki jednostki. Każdy dźwiga los kasta i ofia-ry zarazem. Takie ujęcie przy-wraca człowiekowi pełny wymiar, czyni go prawdzi-wym twórcą historii, a nie pionkiem na szachownicach jej rozgrywek.

Sprawę odpowiedzialności jednostki za kształt otaczają-cego ją świata waż szczególnie wnikliwie film, który

uwzględnił jeden z najpięk-niejszych spośród tych, jakie dane mi było dotychczas zob-aczyć, a mianowicie „Ściep przy głównej ulicy” Kłosa i Kadara. Oczywiście, jeśli fi-lmowcy czechosłowaccy podej-rajają podobną problematykę, to z racji jej aktualności. Wojna stanowi skrajny przy-padek, sytuację ostateczną, w której sprawdzają się wartoś-ci ludzkie. To samo odnosi się do współczesności. Przy-kladem głośne dzieło Kłosa i Kadara „Oskażony”.

Ala postawa nakazująca widzieć w człowieku jedyną miarę wszechrzeczy skłania realizatorów czechosłowac-kich do poszukiwania najwik-szych wartości ludzkich tak-że i w najwykleszej codzienności. Twórczość Formana czy Passera nie oznacza wcale rezygnacji ze spraw o charakterze uniwersalnym. Wprost przeciwnie, odnajdu-je ich powszedni wymiar. „Czarny Piotruś”, „Miłość blondynki”, „Intymne oświe-tlenie”, — to najwybitniej-sze osiągnięcia tego nurtu.

„Intymne oświecenie” Iva-na Passera jest filmem zdumiewającym. Wydaje się, że już nie można pójść dalej w prostocie, w odarcie kina ze wszelkich atrakcji czysto widowiskowych. Spektakl, który rozgrywa się przed na-szymi oczyma, jest samym życiem, i nagle widzimy to zwykłe, szare, codzienne, do obrzydliwości nudne życie, zupełnie innymi oczyma. Do-strzegamy ukryty pod jego powierzchnią puls znaczeń, konieczności, nieuchwytnych wyborów. Iż dramatyczności w tym filmie, ale nie drama-tyczności wyдуманego przez scenarzystę, ubarwionej re-żyserskimi sztuczkami, lecz autentycznej dramatyczności ludzkiego losu, każdego ludz-kiego życia. Forman i Passer nie traktują nigdy swych bo-haterów na zasadzie tzw. prostych ludzi. Nie patrzy na nich z wyższością wszech-wiedzącego intelektualisty. Widza w nim przede wszyst-kiem wartości ludzkie, darzą głęboką sympatią zrodzoną ze zwykłej, ludzkiej solidarno-sci. Może słuszniej byłoby zastąpić słowo sympatia słowem miłość, choć brzmi to paletycznie. Ale właśnie owa miłość, miłość do człowieka, i do rzeczywistości, jako światła, w którym on istnieje, stanowi zasadnicze źródło inspiracji czechosłowackiego filmu i przenika na wskroś jego najwybitniejsze dzieła. Owa miłość jest dziś zjawiskiem szczególnie cennym i godnym uwagi właśnie dla-tego, iż tak rzadko pojawia się na obszarach współczesnej sztuki.

### TELE-OBIEKTYW

## TELEWIZJA znaczy widowisko

Nasza telewizja ma wielu krytyków. Ona jest jedna, a krytyków co najmniej kilka milionów. Właściwie każdy, kto bardziej lub mniej regularnie ogląda program wy-daje sady, ocenia...

Trzeba też stwierdzić, że telewizja, emitując jeden jed-yny program, staje na przegranej z góry pozycji. Jak bowiem dogodzić wszyst-kiem? Celować w jakąś ab-strakcyjną średnią gustów? Wykonycypować sobie model przeciętnego widza, jakiegoś manekina bez twarzy i pod niego wyważać program?

To oczywiście bzdura. Tym bardziej, że program tworzony jest nie tylko dla ludzi, ale i przez ludzi. Jest jakąś wypadkową ściera-jących się i znoszących się nawzajem inwencji, ta-lentów, temperamentów. Nie każdy zdaje sobie sprawę, że ilość osób zaangażowa-nych w tworzenie programu

ty odmierzać należy już nie w setkach, ale w tysiącach osób. Oczywiście jako współ-twórców programu uważam tu wszystkich piszących dla telewizji, realizujących pro-gram, spikerów, lektorów, redaktorów prowadzących przy-wiady i występujących przed kamerami aktorów, rozmów-ców i innych wykonaw-ców.

Tak więc nie może być mowy o jednym mózgu, któ-ry obejmowałby swoją kontro-lą całokształt programu, weryfikował wewnętrzne pro-porcje, stosował jednolite kryteria. Nie krytykujemy więc abstrakcji zwanej tele-wizją, krytykujemy ludzi, autorów i wykonawców, od-powiedzialnych za poszczegól-ne pozycje programowe.

Myślę, że tylko w ten spo-sób wpływać można na ja-kość programów telewizyj-nych. Krytyka nie powinna przy tym dotyczyć tylko poz-ycji artystycznych i roz-rywkowych. Wszystko, co przekazywane jest przez te-lewizję ma cechy widowiska i musi spełniać pewne wymo-gi, jakie wiążą się z tą formą publikacji. Dotyczy to także telewizyjnej służby informacyjnej i programów publicystycznych.

Czy jeżeli przez dziesięć czy piętnaście minut na e-kranie telewizorów widzimy jednego pana, który referuje nam taką czy inną sprawę, to możemy mówić, że uczestniczymy w widowisku? Na to pytanie nie ma jed-

noznacznej odpowiedzi. W przypadku profesora Zina, czy Stefana Treugutta nie ma chyba wątpliwości, że chodzi tu o widowisko.

W pierwszym wypadku świetny popularyzator, ry-sownik i konserwator zabytków znakomicie wspomaga się węgielkiem i kartonem, ale nawet w momentach kiedy nie rysuje, przygląda-my mu się i słuchamy go z zainteresowaniem. Tak przy-glądamy mu się, a więc ma-my do czynienia z widowis-kiem.

A Treugutt? Tu już nie ma kartonu ani flamastra. Jest tylko człowiek, który nie tylko ma nam coś do powiedzenia, ale także umie to zrobić. Nie tylko każe nam słuchać, ale zmusza nas do patrzenia na siebie, przy-kuwa wzrok i to nie ze względu na Stefan mi wy-baczy!) na urodę.

Z pewnością małym wido-wiskiem jest każdorazowy występ Czesława Nowickiego — Wicherka, którego działa-ność telewizyjna tak wnikli-wie przeanalizował ostatnio na łamach „Kultury” KTT. Widowiskiem jest zarówno ten występ Wicherka, w którym prezentuje on cu-riosa przyrody, obrzymie borowiki, parokilogramowe ziemniaki itp., jak i te w których poza niezbyt fascy-nującą wizualnie mapą po-gody w kadrze jest tylko sam wykonawca. Nie okla-mujemy się! Nie tylko słu-chamy prognozy pogody.

Przyglądamy się Wicherko-wi. Jednocześnie można by mnożyć przykłady, w których widowiskowa funkcja tele-wizji zalamuje się w obliczu nieudolności różnych osób występujących przed kame-rami. Temat wypowiedzi może być ważny, ale złe wykonaw-stwo zabija nasze zaintere-sowanie. Nie możemy wtedy opanować myśli, że ogląda-nia niewydarzonego wyko-nawcy należało nam oszczę-dzić. Może lepiej wypadłby w radiu, bez wizji? A może w wywiadzie gazetowym?

Iż to wraz z krew nas za-lewa, gdy dyrektor ważnego przedsiębiorstwa, czy jedno-czenia, trafiwszy przed kame-merę na zasadzie instyucyj-nalnej, rozpaczliwie duka zezując w kartce, podczas gdy dziennikarz prowadzący program dokazuje cudów, by nadać całociś pozory swobod-nej rozmowy. Tak przepro-wadzany program to już nie widowisko, ale męczarnia dla widzów.

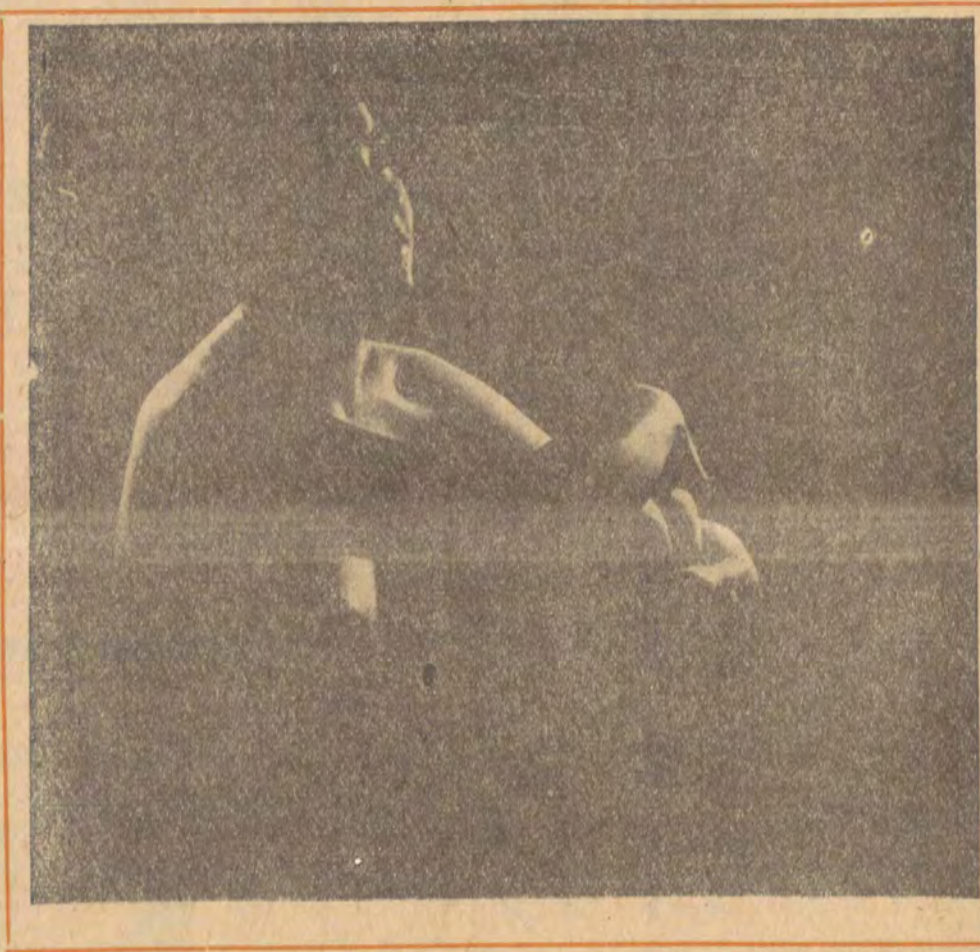
Jaka na to rada? Po pierw-sze, z pewnością nie każdy nadaje się do występowania przed kamerą. Istnieją an-tytalenty. Rzeczą redaktó-rów i scenarzystów jest wy-kryć cechy dyskwalifikują-ce tego czy innego rozmów-cę i zrezygnować z jego wy-stąpienia przed kamerami nawet jeśli chodzi o osobni-ka podstawowego dla oma-wianej dziedziny.

Po drugie osoby zaproszo-ne do studia telewizyjnego powinny się do występu le-piej przygotowywać. Nie za-wadzi nawet popracować przed lustrem. Jest wielkim nieporozumieniem mniema-nie, że jeżeli umiemy pokie-rować naradą produkcyjną w składzie kilkunastu, czy kilkudziesięciu osób, to po-trafimy nie przygotowani stanąć wobec milionów tele-wizorów i wyłożyć interes-ująco nawet najlepiej znan-y nam problem.

Jako pozytywny przykład chciałbym podać nadany w ubiegłym tygodniu program Redakcji Ekonomicznej TV pt. „Komputer czy rach-mistrz”. Grupa inżynierów — specjalistów od elektro-nicznego przetwarzania da-nych, skupiona wokół kom-putera, była z pewnością do-brze przygotowana do roz-mowy przed kamerami. Nie zadowolono się własną zna-jomością problematyki, ale opracowano sobie przed emi-sją sposób, w jaki o zagad-nieniach tych należy prze-mawiać do widzów.

Należałoby wywierać sta-ła presję społeczną na oso-by, które występują w tele-wizji, by czyniły to w spo-sób odpowiedzialny. Działacze społeczni, polityczni, go-spodarczy muszą pamiętać, że od momentu, gdy nad obiektywem kamery zapala się czerwona lampka, stają się wykonawcami widowiska i są jako wykonawcy oceniani przez miliony obywateli. Teżo लेकरवाच्य nie wolno.

Witajciecie  
Drogi



## O FILMACH DOBRZE i ŹLE



Film Aleksandra Scibora-Ryl-skiego „MORDERCA ZOSTA-WIA ŚLAD” jest dla nas cenn-y z jednego względu: Zbigniew Cybulski zagrał w nim swa ostatnią rolę. Jest to w filmie po-stać epizodyczna, nie dająca mu żadnych możliwości rozegrania się i pokazania swego talentu, ale to nieważne. Tu go widzimy po raz ostatni, i tylko widzimy. Bo głos nie jest już jego — nagrywany był po nieszczęśliwym wypadku. Zamiast Zbyszka słyszymy Tadeusza Lomnickiego. I dlatego jego sy-wetka nie jest pełna, jest w niej trochę obcości przez to przełama-nie. Na pojawienie się Cybulskiego na ekranach widz musi czekać dość długo — dopiero w końcowych par-

tiach filmu pojawia się jego go-stać. Kto oczekiwałby próbek jego wielkiego talentu aktorskiego, był-by zawiedziony. Ten film — nie-dobry już w swej koncepcji, zam-ysśle scenariuszowym — z góry przekreśla możliwość stworzenia choćby z epizodycznej roli malej perłki aktorskiej. Nawet pierwszo-planowe postacie są w nim nijak-ie, schematyczne, bezbarwne. A jednak świadomość, że to była ostatnia rola filmowa Zbyszka Cybulskiego sprawia, że widza ogar-nia wzruszenie, kiedy patrzy na jego zmienioną przez kostium i cha-rakteryzującą postać. To przecież pożegnanie z naszym najbardziej wybitnym aktorem filmowym...

„Morderca zostawia ślad” jest filmem sensacyjnym. Nie mam nic przeciwko temu popularnemu ga-tunkowi opowieści ekranowej, jeśli jest po prostu dobrą rozrywką zdradzającą, że twórca nie tylko zna się na rzemiośle filmowym, ale sam potrafi być dobrym rzemieś-nikiem. Niestety — nie można tego orzec o Aleksandrze Sciborze-Ryl-skim, przynajmniej na podstawie „Mordercy”. Pomysł filmu pozornie był sprytny: śnięcie do okresu pierwszych dni powojennych, tru-nnych i niebezpiecznych miało praw-dopodobnie stanowić asekurację te-matyczną, haczyk dla reklamy (to chyba nie autentycznej, szanującej się krytyki filmowej), liczenie na pokłask za podjęcie tak skompli-

owanej problematyki. Forma fil-mu sensacyjnego była natomiast chwytym na publiczność, ukłodem w stronę kasy kinowej. Efekt tego smażenia dwóch pieczeni przy jed-nym ogniu jest oplakany. Film jest w gruncie rzeczy jedynie namiast-ką jednego i drugiego — prawdziwej sensacji i penetracji proble-mów dnia tamtych trudnych czaso-w. Odnosi się wrażenie, iż w gruncie rzeczy twórcy nie mieli zbyt wiele do powiedzenia o tam-tym okresie, a obrany gatunek też nie bardzo potrafił się posłu-gować. A może zaszkodził im brak zdecydowania, może tak mści się na dzieło artystyczny konformizm, liczenie na łatwy i tani sukces?



Jak omawiany wyżej film sta-nowi przykład nieudolnej roz-rywki z wielkimi rzekomo as-piracjami, tak komedia ame-rykańska „WEZ JA — JEST MOJA” reprezentuje właśnie odmienny ty-p lektkiej muzy filmowej. Zgrabnie wyreżyserowana przez Henry Ko-stera, oparta na dobrym, zabawnym scenariuszu i okopijająca w głównej roli doskonałego Jamesa Stewarta, kolorowa w dodatku i szerokokiełkowa — jest dla widza prawdziwie dobrą zabawą. Bezpre-tensjonalna, zrobiona z absolutną znajomością filmowego rzemiosła i zarazem gustów publiczności, z po-znaczeniem humoru, Koster umiejęt-nie tworzy nieskomplikowane, pal-

ne komizmu sytuacje, podrywa sobie ze wszystkich i wszystkiego. Jest to jednak drwina pełna ja-kiegoś ciepła i wyraźnie widoczne-go dystansu do przedstawianych spraw i wydarzeń. Na ludzkie śmieśności patrzy się tu przez pal-cę, z pogodną pobłażliwością.

„Wez ja — jest moja” to kome-dia rodzinna. Koster specjalizuje się w tej właśnie odmianie komedii, przedstawiającej życie typowej ame-rykańskiej rodziny z warstw śred-nio zamożnej inteligencji. Do tego samego typu komedii należały zna-ne z polskich ekranów filmy Ko-stera „Mr Hobbs na urlopie” oraz „Droga Brigitte”. Tym razem głów-nym bohaterem jest prawnik w

średnim wieku (James Stewart) o-jciec dwóch córek: pięknego koci-aka, który przyczynia mu mnóstwo życiowych kłopotów oraz dorasta-jącego podlotka. Kociak jest uzdol-nioną malarką. To stwarza okazję do nieszkodliwych drwin ze współ-czesnego malarstwa oraz z samego środowiska artystycznego. Humory-syczne ciecigi biora zresztą nie tyl-ko malarze. Ponieważ piękna Mollie jest studentką, sama trochę gra i śpiewa, krag młodych ludzi, młęd-zy którymi się obraca, jest wielce urozmaicony. Jest w nim i natch-nyony, sfrustrowany i znudzony postać nowoczesny, z którego Koster podkłada ze szczególnym upodo-baniem. Ale nie tylko pokolenie dzie-

ci ukazane jest w krzywym zwier-ciadle komizmu. Śmiejemy się tak-że z pokolenia ojców. Z młodych z powodu pozerstwa i fałszywie, nawiąnie pojętej ideaowości, a ze starszych — patrząc na ich niena-danie z duchem czasu, na staro-wieckość, rozbieżność między ży-ciem a wyobraźnią, poglądem na świat. Drwina Koster jest nies-zzkodliwa, nie ma w niej goryczy, czuje się prostą, ludzką życzliwość i autorskie „puszczenie oka” do widza. Wychodząc z kina marzylam z zazdrością: kiedyż to nasi fi-lmowcy nauczą się wreszcie robić taką bezpretensjonalną, dobrą, przy-jemną rozrywkę!

MARIAREL



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## JEDNAK KAFKA

■ Kiedy przed rokiem wiedeńskie wydawnictwo teatralne i muzyczne „Universal Edition” opublikowało nieznaną dotąd dramat Kafki pt. „Lot dookoła lampy” opracowany i przygotowany na scenę przez śpiewaka i reżysera praskiej opery, o nazwisku Ludek Mandaus, wywołało to wielkie poruszenie wśród miłośników twórczości Kafki (1883—1924) i badaczy jego twórczości. Rozpoczęły się dociekania i gwałtowny spór o to czy utwór wzięty z szkiełki lub fragmentu dramatu wyszły istotnie spod pióra Kafki.



Francz Kafka. Plaskorzeźba wykonana przez czeskiego rzeźbiarza Jiri Buresa.

W wyjaśnieniu Mandausa skład znalazł się on w posiadaniu utworu wyjaśniły niewiele, były albo sprzeczne, albo wręcz niewiarogodne. Sam tekst istotnie wykazywał wiele cech cha-

larny” nie jest dziełem Kafki.

Ostatnio jednak Jarosław Langer praski dramaturg, publicysta i przekładowca (przełożył ok. 30 polskich i niemieckich sztuk teatralnych na język czeski) w sześciomiesięcznym, żmudnym studiach nad tekstem doszedł do wniosku, że „Lot dookoła lampy” jest bezspornie dziełem samego Kafki, choć zniekształconym i wymagającym rekonstrukcji jak zatarty i przerabiany fresk.

Langer stwierdza, że tekst niemiecki „Lotu” (a Kafka pisał wyłącznie po niemiecku) różni się od oryginału, który musiał zaginać. Istniało więc — zdaniem Langer — tłumaczenie na język czeski dramatu Kafki, a następnie ktoś, kto nie znał dostatecznie języka niemieckiego (stad te dialogi noszące cechy absurdu), ani nie posiadał biserskich umiejętności, przełożył sztukę z języka czeskiego na niemiecki. Jarosław Langer wywodzi swe publikacje na łamach wiedeńskiego czasopisma „Literatur und Kritik” i praskiego pisma „Literární noviny”.

Jest faktem, że wiele dzieł Kafki pozostało w rękopisach (często są to szkice i fragmenty nie przeznaczone przez autora do druku), które na skutek wojennej zawieruchy rozproszyły się i znalazły w rękach rozmaitych osób. Podobnie „Lot dookoła lampy” trafił do kogoś kto nie znał dobrze niemieckiego, a poprzez tłumaczenie tekst został zniekształcony. Jarosław Langer zamierza „odrestaurować” tekst wydany w Wiedniu jako bezsporne dzieło Kafki.

## PAUL KLEE I MARSYLIA

■ W okresie kampanii zamiera życie kulturalne Paryża, ożywiają się natomiast ośrodki prowincjonalne. Takie miasta jak Bordeaux, Grenoble, Marsylia, Montauban, Strasburg i in-

ne urządzają co roku przez całe lato wystawy plastyczne rywalizując ze sobą. W tej szlachetnej rywalizacji Marsylia już od kilku lat wysuwała się na czoło dzięki wystawom takich malarzy jak Bonnard, Picabia, niemieccy ekspresjoniści. W tym roku Muzeum Cantin’ od lipca do września zorganizowało wystawę Paula Klea jakiej nie było we Francji już od roku 1960.

Na inauguracji wystawy byli obecni syn wielkiego malarza, jego wnuk, który sam jest malarzem oraz prawnuk Paula trzyletnie dziecko. Paul Klee — jak pisał paryski „L’Express” — jest jednym z najbardziej lubianych malarzy nowoczesnych. Związana z nim jest ogromna popularność wśród francuskich dzieł sztuki, które chętnie kupują i reprodukcje jego dzieł.

Paul Klee szwajcarski malarz, rysownik i grafik urodził się w roku 1879, zmarł w 1940. Jego twórczość jest bliska surrealizmowi.

Paryski tygodnik „Les Lettres francaises” podkreśla wielką komunikatywność dzieł Paula Klea, jego obrazy przemawiały do wszystkich. W jego twórczości, jak zauważa pismo, jest coś z ekspresji artystów ludów prymitywnych gdzie malarze przemawiają do widza określonymi znakami, symbolami zrozumiałymi dla wszystkich. I tak np. zygag oznacza błyskawicę, linia falista — woda, itp.

Obecna wystawa w Marsylii obejmuje tylko część prac Paula Klea, znalazły się tu jedynie dzieła tematycznie związane z krajami basenu Morza Śródziemnego, Marsylia zaś chlubi się tym, że w damotnikach malarza znaleziono zachwy nad pięknem tego miasta.

## PISMA LONGFELLOWA

■ W 160-lecie urodzin Longfellowa jedno z amerykańskich wy-

dawnictw opublikowało dwa tomy jego pism. Publikacja dotyczy lat 1814—1843 i zawiera wiele interesujących i mało dotąd znanych faktów z życia pisarza. Henry Wadsworth Longfellow urodził się 27. 2. 1807 roku w Portland, zmarł 24. 3. 1882 roku w Cambridge (w stanie Massachusetts). W la-



tach 1836—1854 był profesorem Uniwersytetu Harvardzkiego. Odył następnie podróże po Europie, po których stał się jednym z najwybitniejszych popularyzatorów literatury europejskiej w Ameryce. Dokonał przekładów z literatury hiszpańskiej, portugalskiej, staroangielskiej, duńskiej i niemieckiej. Jego wierszowane dzieło „Song of Hiawatha” było próbą stworzenia, na podstawie starych opowieści i legend indiańskich, narodowego eposu amerykańskiego. Walezył piórem przeciwko niewolnictwu (napisał „Poems of Slavery”). Pozostawił liczne wiersze, opowiadania, powieści i sztuki sceniczne. Był jednym z najbardziej lubianych poetów swego wieku.

## PLYTA Z POEZJI MAJAKOWSKIEGO

Wkrótce ukaże się we Francji płyta z poematami Majakowskiego w tłumaczeniu na język francuski. Przekładu dokonała Elsa Triolet.

## JAMES JOYCE WE WSPOMNIENIACH PRZYJACIELA

■ O życiu i piarstwie James Joyce’a napisano wiele. Do najbardziej wybitnych dzieł w tym zakresie należy monumentalna monografia pt. „James Joyce” Richarda Ellmana (pierwsze wydanie w 1959 r.). Ostatnio do bogatej literatury o wielkich pisarzach irlandzkim przybyła książka napisana przez Jacquesa Mercantona pt. „Les heures de James Joyce” (Godziny James Joyce’a) wydana w Lozannie.

„Zbliżył się idąc pod ręce ze swą żoną, jak niewidomy wśród tłumy którego przewyższał swym wysokim wzrostem. Szedł z kapeluszem nasuniętym na oczy, z łaską przewieszoną przez ramię, bardzo bladej, postarzały, naznaczony trudami dni”.

Takim go do raz ostatni widział i takim

go zapamiętał Jacques Mercanton, który poznał autora „Ulyssesa” w 1935 roku, zaprzyjaźnił się z nim i przebywał z pisarzem aż do jego śmierci w roku 1941 w Zurychu.

Jacques Mercanton jest profesorem literatury na uniwersytecie w Lozannie, esejstą i powieściopisarzem. Poznał James Joyce’a pro wadził notatki z rozmów z pisarzem. „Znałem James Joyce’a jedynie w ostatnich latach jego życia, w czasie gdy kończył on swą ostatnią pracę pt. „Finnegans Wake” — pisze Mercanton, a następnie oświadcza: „Niczego nie zmieniłem, nie rozwijałem i nie wydedukowałem”. „Słowa które przytaczam, są tymi, które rzeczywiście wypowiedział”. Portret wielkiego pisarza w czasie ostatnich lat jego życia jest dziełem temu wier- ny a zatem cenny dla badaczy życia i dzieł James Joyce’a. I to jest duża zasługa Jacques Mercantona.



James Joyce w Zurychu.

## POLONICA

### „JOURNAL DE GENEVE” O A. BRYCHCIE

Miesięcznik „Perspectives Polonaises” opublikował francuski przekład powieści Andrzeja Brychta „Dancing w kwatery Hitlera”. Pozyję tę zauważył szwajcarski „Journal de Geneve”, którego dodatki literackie redaguje znakomity dramaturg i krytyk, autor „Bankiera bez twarzy”, Walter Weidell. W przeglądzie prasy z 15-16 kwietnia streszczono problem i temat „Dancingu”, a następnie podkreślono świetne ujęcie zagadnień, nurtujących młodzież współczesną.

W tym samym numerze, w dziale kroniki, wspomina „Journal de Geneve” o wizycie polskich pisarzy w Paryżu na jesieni ub. r. i wywiadzie przeprowadzonym z Wisławą Szymborską i Wojciechem Natansonem przez R. Boisdefffre.

### O „FARAONIE”

W ostatnim okresie prasa włoska zamieszcza serię recenzji amawiających „Faraona” Jerzego Kawalerowicza. Nie są to wypowiedzi najpochlebniejsze. Oto fragmenty recenzji pióra Tommaso Chiarelli, zamieszczonej 27. IV, w „Noi donne”.

„Wielu zajmowało się starożytnością, wśród nich znalazł się Kawalerowicz. To pozostanie losalne widowisko jest bardzo nierówne. Podanie tekstu w niektórych partiach jest wręcz szokujące. Tak jakby żli aktorzy recytowali Szekspira...”

Jest to historia młodego Ramzesa, syna faraona i jego następcy, który pragnie unowocześnić stare systemy rządzenia i który znalazł się w centrum walki między Azyrzejczykami, a Fenicjanami między kapitanami, a bankierami: Jest postronnie narodu uciskanego i wygłodniałego, którego przesydy religijne stoją w poprzek drogi do reform.

Jest to historia, która wydaje się mieć tysiąc znaczeń, a w gruncie rzeczy nie ma żadnego, wszystkie wątki cechuje prymitywizm. Być może klasy społeczne zostały pokazane wiernie z ówczesną rzeczywistością, może sięgnięto do dobrych źródeł historycznych. Nie nam o tym sądzić, nas interesuje film jako dzieło dramatyczne. W ostatecznym rezultacie jest konwencjonalny, nudny, bezwartościowy, niepotrzebny. Nie będziemy dopytywać się dlaczego reżyser polski udał się do Egiptu, żeby tam odkopać temat dla swojego filmu. Zauważmy raczej, że zdarzyło się to Kawalerowiczowi, który kilka lat temu zaprezentował się jako jeden z nowoczesnych, inteligentnych i wrażliwych realizatorów filmowych swojego kraju.” (W)

### W JUGOSŁAWII O W. NATANSONIE

Ukazujący się w Belgradzie dwutygodnik „Književne Novine” (z 29 kwietnia br.), poświęcony recenzowaniu nowości wydawniczych (coś w rodzaju naszych „Nowych Książek”) zamieścił w dziale „Książki nie tłumaczone” obszernie omówienie monografii Wojciecha Natanson pt. „Stanisław Wyspiański”. Autorka, Biserka Rajčić, polonistka z wykształcenia, omawia szczegółowo i ze znajomością rzeczy treść książki W. Natanson, podnosząc zarówno jej walory treściowe jak i formalne. Miło nam przy tej sposobności przypomnieć naszym czytelnikom, że w swoim czasie „Odgłosy” poświęciły książce W. Natanson osobną recenzję.

Maciej M. [Signature]

## POLONICA

## Notatki na MARGINESIE

1. Nastąpi wakacje, pora urlopów i czasów. A jeszcze mamy i Miedzynarodowy Rok Turystyczny. Wszyscy gdzieś jedzie. Hordy Polaków z walizkami przeciągają z Rzeszowa do Szczecina, z Jeleniej Góry do Augustowa, Podróże kształcą. Kto podróżuje po Polsce, ten poznaje obyczaje Polaków. Warto poznać obyczaje Polaków, więc w drogę!

2. Dalekobieżny autobus Łódź — Koszalin odjeżdża co drugi dzień o godzinie 6.30 rano. Łódzki PKS dysponuje nowymi, pięknymi wozami, i starymi, niedzmi gratami. Czy można zgadnąć, jaki autobus pojedzie w te trudną, daleką podróż przez pół Polski? Oczywiście.

wieście. Można zgadnąć. A przynajmniej ja zgadłem, zakładając, że dostanie nam się stary grat. Jestem urodzonym malkontentem i pesymistą — więc łatwo mi takie rzezy zgadnąć. Autograt — ładna nazwa, prawda? — jest wiekowy, grzechocze, jakby wiódł ładunek pustych puszek od konserw. Ale jedzie i dojeżdża na miejsce, co jest do wiedzi naszego narodowego geniuszu i talentu do motoinżynierstwa. Poza tym jest radiofonizowany. Głośniki tak skrzeczą, że nie sposób zrozumieć, co spiker zapowiada, ale częściowo zagłuszą rozklekotany przechoł, czy może rozgrzechotały klekot autogratu.

3. Na naszych kolejach, jak wiadomo, panują warunki antyhygieniczne — albo, mówiąc bez ogródek — niechujstwo i brud. Ale gdzie tam równać się PKP do PKS! Do piero w autokracji pojawiłem, że brud może imponować, może być osiągnięciem: tak brudny i ohydny szmat, jakimi powleczono fotele pekowskiego ekspresu Łódź — Kołobrzeg nie widziałem nigdy w żadnym środku lokomocji. Podejrzewam, że ten wyciecznik ma coś wspólnego z Mię-

dzynarodowym Rokiem Turystyki: może chodzi o zwrócenie uwagi na wielkie talenty organizacyjne łódzkiej dyrekcji administracyjnej PKS?

4. O tym, że w chwili obecnej Łódź jest jednym z największych miast Polski bez przystanku PKS-u z oportunistycznym i chórzkowym względów zamieję.

5. Jednym ze śmielszych tematów naszej satyry politycznej w ubiegłym dwudziestolecu był premier Sławoj i jego osławione sławojki. Nie namiętności się ze Sławoja — klepskiego generała, ze Sławoja — marnego premiera, lecz ze Sławoja, niegłupiego lekarza, jak dotąd w naszej historii jedynego nie za stanu, który cokolwiek uczynił w tej nieblahej kwestii sanitarnej. Również i w poważnej publicystyce temat — że tak to określimy — kłozetowy leżał i leży odłogiem. Może właśnie z tego powodu kompleks zagadnień kłozetowych uszedł uwagi naszych ekonomistów, planistów, architektów i urbanistów. No i mamy najbardziej egzotyczne ubikacje kontynentu, a kto wie czy nie

wszech kontynentów i kosmosu.

Spytałem kiedyś pewnego obokojowca, co na nim w Polsce sprawiło największe wrażenie.

— Pyta pan o wrażenia pozytywne, czy negatywne?

Oczywiście, pytałem z myślą o pozytywach (stare, odbudowane miasta, piękno Polski, Cepelia, wódka eksportowa, Boże Ciało w Łowiczu), ale tak zastopowany musiałem indagować cudzoziemca i o wrażenia negatywne.

— Panie — powiedział — takich ubikacji jak w Polsce, nie widziałem nigdzie na świecie!

6. W restauracji w Dźwierzynie (tzw. szwedzki szlak turystyczny) — poznałem nową i frapującą formułę polskiej gastronomii: bigos był przesyłony i diabelnie niesmaczny, natomiast w skrzynkach zwykle przeznaczonych do przewożenia lemoniady czekały na konsumenta — wczasowicza nieprzeliczone butelki eksportowej czystej wyborowej z 200 proc. narzutem.

7. W niedzielę kołobrzęska „Fregata” — jedyny bodajże w tym mieście lokal kategorii I-szej —

obsługuje wycieczki: konsumenci wygodni, hurtem zaklatywani, plan leci z głową. Dla innych gości miejsc brak.

Usłyszawszy to, mam widać na twarzy rozterkę, bo jakiś rodak majawce Boga w sercu doradza mi życzyliwie.

— Jedź pan na stację, do Warsa. Dają jeść kłepsko, ale naćrać się można.

8. Hotelarstwo na Wybrzeżu czeka na swego Kolumba. W Kołobrzegu np. nikt zawczasu nie pomyślał, by zorganizować dla dobra wczasowiczów dwa termistrzowskie biuro usług i skierowań. A przede wszystkim, by przeprowadzić kontrolę sanitarną pomieszczeń wynajmowanych „dziko” wczasowiczom. Dzięki temu może się wam zdarzyć to, co ja przeżyłem — oferowano mi za ciężkie tysiące locum, w którym w innych porach roku hoduje się norki. W związku z tym przypomnia mi się stary kawał (zapobiegony bodajże od Horacego Safrina).

— Ty wiesz, żona Izzydora trzyma w mieszkaniu kocz.

— Przecież ona śmierdzi.

— A ty sądziś, że koca jest taka wrażliwa na zapachy?

9. A poza tym — Bałtyk to jednak morze i może warto się tak męczyć. Szczególnie w tak piękne, jak w tym roku lato!

10. 1001 doświadczeń wczasowych dałoby się zlikwidować w dużym procentie dzięki prostym organizacyjnym przedsięwzięciom, dla opracowania których starczyłaby komisja składająca się z ministra i wiceministrów komunikacji — dyrektorów departamentu tego resortu i odpowiednich funkcjonariuszy z GKKE, CRZZ i PTTK. Trzeba tylko, żeby wysoka ta komisja, zostawwszy w domu służbowe mercedesy, właśnie w turystycznym szczyście lipcowym wybrała się do Polski — 2 klasa pociągu osobowego lub autogratem PKS, bez rezerwowania miejscówek i miejsc w hotelach. Z zachowaniem ścisłego incognito.

Rezultat tak pomyślanej penetracji terenowej — mruwany.

Czego wszystkim umęczonym wczasowiczom życzy



KONRAD FREJDICH

# ŁANIUCHA

## PITAVAŁ ŁÓDZKI

Łaniucha ma swoją legendę bogatą w fantazmatorię, jakie zrodzić może świadomość potrójnie przelanej krwi. Widziano w nim wystannika piekielnie albo niewianną ofiarę szałki sprytnych hipnotyzerów, lombrosowskiego typu o rachitycznej budowie czaszki albo poeę, który nie dokoczył swej pieśni. Czterdzieści lat temu jedni straszyl Łaniuchę na podworkach dzieci, które na sam dźwięk tego nazwiska trwożliwie czepiały się matczylnych kicek, inni układali i śpiewali o nim ballady, które i dziś jeszcze usłyszeć można od starszych ludzi na Księżym Młyńcu.

Łaniucha urodził się w roku 1907 na wsi, ale wychowywał w mieście Łodzi, które po części odebrało mu matkę. Kobięcina rozbiła się i w stanie silnej depresji targnęła na swe życie. Osiorecła swego Stacha wyroskłem, chłopiec został z ojcem i starszym rodzeństwem. Ojciec wziął się za handel na Wodnym Rynku, gdzie miał stragan do snódek z zleciem. Skończył siedem klas, w szkole uczył się dobrze i ojciec posłał go na kursy szoferskie. Ale nie wytrwał i rychło zmienił zajęcie. Marzył mu się podróże, więc któregoś dnia uciekł z domu z postanowieniem, że zostanie marynarzem. Ale do morza nie dotarł, osiągnął tylko Wloclawek, skąd po namyśle wrócił wreszcie do ojca, który chciał go wykirować na stróciela fortepianów. Chłopa kowal podobal się bardziej fach rzeźnika, ale nie było dyskusji. Ostatecznie w słynnej firmie „Grzegorzewski” przyjęto go do pracy w charakterze lakiernika. Po ośmiu miesiącach znalazł się na bruku i dopiero stolarz Fulde wyciągnął do niego pomocną rękę. Tępo Fuldego namawiał potem, aby się wybrał razem z nim na Piotrkowską 117, aby obejrzeć ciała zamordowanych przez nieznanych sprawców małżonków Tyszerów, właścicieli firmy „Grzegorzewski”.

Morderstwo zdarzyło się w sam dzień 10 rocznicy niepodległości, 11 listopada 1928 roku, była to niedziela. Na mieście wiałowały tłumy, a na głównych placach wznosiły się strażackie i wojskowe. W niedzielę rano Engelbert Tyszer, farmaceuta z zawodu, w drodze do apteki zauważył, że należący do jego brata skład fortepianów ciagle jest

jeszcze zamknięty, postanowił więc wstąpić do mieszkania i obudzić właściciela. Ale mieszkanie było także zamknięte, a gospodarz i służba nie reagowali na dzwonięki. To już pana Engelberta zdziwiło nie na żarty, a kiedy stwierdził, że brata nie ma także w mieszkaniach niedaleko matki, zdziwienie jego przepięcone było z niepokojem. Dozorca domu zafiorował się, że pośle swego syna, aby spróbował wejść do mieszkania Tyszerów przez uchylone okno. To było na I piętrze. drabina sięgnęła. Chłopak wdrapał się na górę i objawił, że gospodarzy nie ma, w mieszkaniu panował nieład. Zaczekał więc na pana Engelberta nie bacząc na swój wiek i pozwycie dostał się na piętro ta sama droga, co syn dozorcy. Na stole znalazł klucze od składu i mieszkania, zszedł więc na dół już konwencjonalna droga. Kiedy otworzył sklep brata natrafił na zimne i zma saktrowane zwłoki właścicieli firmy „Józef Grzegorzewski”.

Wezwani policjanci odnaleźli wkrótce inne ślady działalności zabiłców. (Nikomuw nawet nie powstała w głowie myśl, że krwawy czyn może być dziełem jednego człowieka.) Zdumienie wywołał fakt, że bandyci zadowolili się skromniami łupem w postaci komplety srebrnych łyżek, dwu zegarków, futra i niewielkiej sumy pieniędzy pozostawiając w kasie ogniotrwałej prawdziwy skarb: 150.000 złotych w gotówce, nie licząc kosztowności i papierów wartościowych. Seif nosił wprawdzie ślady nieudolnych prób jego otwarcia, ale skończyło się na oberwaniu klamek i tarcz numerowych od sekretnych zamków, które jednak nie puściły. Stwierdzono też, że wraz z bandytami tajemniczo zniknęła z domu służąca Tyszerów, Jadwiga Borowska, którą automatycznie zaliczono do najsilniej podejrzanych.

Był to prawdziwie gorący dzień łódzkiej policji. Już wczesnym rankiem robotnicy Steigerta odnaleźli na polach przy ulicy Milionowej leżące w rowie zwłoki jakiejś młodej kobiety. Teraz nadszedł meldunek o nowym, dubelkowym morderstwie Tyszerów. Dopiero po jakimś czasie policjanci skojarzyli sobie, że zwłoki nieznajomej mogą mieć jakiś związek ze sprawą firmy „Grzegorzewski”. Postano po siostrę Jadwigę Borowską, która nieoczekiwanie zidentyfikowała zwłoki zaginionej służącej.

Ale w samym składzie po

dokładnym przeszukaniu wszystkich jego pomieszczeń, przesuwaniu z miejsca na miejsce ponad dwudziestu pianin policja znalazła prawdziwy klucz do zagadki. Był to wypisany ręką Maril Tyszer rachunek na nazwisko Stanisława Łaniucha, w który mordercy wycierali sobie pokrwa wione palce. Liczono się zresztą z tym, że nazwisko na rachunku jest całkowicie fałszywe, nie zamiechano więc zdo bywania nowych dowodów rozpytujac świadków z kamie nicy na Piotrkowskiej i poszukując taksówkarza, który wioził mordercę i Borowską na ulicę Milionową, aby zdobyć rysopis zabójcy. Właściciele wszystkich dorozek samocho dowych otrzymali polecenia stawiania się na ulicę Andrze ja, co spowodowało zatarasowa nienie tej przecznic przez par kujące auta, ale wynik okazał się całkiem miernym. Dopiero później z własnej woli zgłosił się pewien taksówkarz, który udzielił policji informacji na temat tajemniczycch pasażerów i kobiety. Były to zresztą informacje cał kowicie bałamutne, dorobione na siłę do tego, co o sprawie zabójstwa Tyszerów pisały niezbyt dobrze wtajemniczone w szczegóły dochodzeń gazety.

Komisarz Weyer starym, wypróbowanym sposobem pole cił zatrzymać 12 osób spośród najmniejszych metów miejskich figurujących w kar tołkach policyjnych, aby stworzyć szansę rozpoznania wśród nich tego osobnika, który jeszcze wieczorem w niedzielę rozmawiał na schodach z zamordowaną Borowska, jak zgodnie zeznawali sąsiedzi Tyszerów. Niektórzy z nich mówili co prawda o dwóch mężczyznach, z których jeden ubrany miał być w cyklistówkę i złoty paltot, drugi zaś na wskroś eleganckim mężczyzna w futrze, kapeluszu i lakierkach.

I kiedy z zeznań świadków rozdziel się coraz bardziej nie prawdopodobne wersje zabójstwa Tyszerów, rachunek wy stawiony na nazwisko Łaniuchy przeczał te wszystkie do myśli. Ustalono, że osobnik o tym nazwisku mieszka przy ulicy Targowej nr 33 i podano dom ścisłej obserwacji. Kiedy wywiadownicy zameldowa li, że młody człowiek o na zwisku Łaniucha przekroczył właśnie bramę posesji, komi sarz przystąpił do działania. Na czwarte piętro wkręcił przebrany za listonosza policjan t, który oznajmił, że ma pilna depesze do nana Stanisława Łaniuchy. Chłopak spoj rzwał podejrzliwie, ale w tym momencie przebieganie wy ciągnął rewolwer i do izby wpadł następny policjant. Mieszkańcy izby próbowali protestować przeciwko aresztowa niu, byli przestraszeni, ale bardziej jeszcze zdziwieni, tylko adresat telegramu oznaj mił policjantom, że wie, po co przyszł.

Przyznał się do zabójstwa już przez pierwszym przesłucha niu, jeszcze nim znalezione w mieszkaniu na Targowej ukryty za szafą pokrawiony

strażacki toporek, zanim wła ściel pralni chemicznej do starczył policji zbryzganą krwią garnitur, który Łaniucha oddał do oczyszczenia. Wy znał Stacho Łaniucha, że od dawna nosił się z zamiarem zabicia Tyszerowej, gdyż była mu nienawistna, a także, że wcześniej rozmyślał o możli wościach zamordowania inne go właściciela składu forte pianów z ulicy i Maja, ale uznał, że jest za biedny. Ła niucha chciał bowiem satysfakcję moralną w postaci zemsty za zniewagę połączoną z satysfakcją materialną i tu li czył na trzy tysiące złotych. O morderstwach mówił już bez tego zakłopotania opisu jąc szczegółowo jak rozpra wił się z Tyszerami, a po tem z ich służącą. Jako były pracownik firmy wiedział do skonałe, że pryncypałowa jest niezwykle chciwa i nigdy nie przepuści okazji do zarobku, na tym postanowił więc bazo wać przychodząc do Tyszero wej przy świecie z wiadomości cia, że chciałby natychmiast sprawić sobie pianino. Zrazu uchyłono tylko drzwi zamknię te na łańcuch, gdy jednak opowiedział o szczęściu, które go spotkało, o bogatym krew nym z Ameryki, po którym otrzymał spadek, oblicze Tyszerowej rozpoznało się i go towa była bieg do składu, aby wybrać instrument dla nie oczekiwane go klienta.

Pojednany w ten sposób z dawną pryncypałowa, która jeszcze niedawno wyrzuciła go z pracy na bruk, Łaniucha zapowiedział, że po południu wróci tutaj ze swym ojcem. Aby zrealizować transakcję, Tyszerowie mieli o czwartej po południu pójść z wizyą do znajomych, Łaniucha zapowie dział się więc o pół godziny wcześniej wiedzac, że o tej porze służąca Tyszerów będzie miała wychodnie. Przy szedł sam, ale nikt go nie pytał o ojca. Tyszerowa z hono rami prowadziła go na dół do składu. Nieoczekiwany za robek rozgorączkował ją, pomyliła się w rachunku i sięg nęła po nowy. Ale w zachowa niu Łaniuchy było coś takt kiego, że tknięta jakimś złym przecuciem poprosiła go za wczasu o pieniądze. Podal jej kopertę, w której były nacie te przez niego papiery. Kiedy to zrozumiała, nie pozwolił jej nawet krzyknąć, uderzył toporkiem, który trzymał z po gotowaniem pod paltotem. Zwłoki owinął w pokrowiec od fortepianu, na kahuze krwi wepchnął fortepian i czekał na następną ofiarę. Bał się Ty szera, który zawsze nosił przy sobie pistolet. Ale kiedy i je go zabił nie było już w nim strachu: Przed sądem zeznał:

„Jak już zabiłem Tyszera, to mnie coś opanowało. Pomyślałem sobie, że jak ja ich zabiłem, to ich majątek do mnie należy”.

Zamknął starannie skład i wszedł do mieszkania Tyszerów na piętrze. W bielizniarce znalazł około 500 zł i wciąż nie mógł rozwalić toporkiem kasy ogniotrwałej. Słyszał, że do drzwi dobija się służąca, więc musiał zaniechać dal szych prób rozbicia sejfu,

Przebrany w futro Tyszera (Borowska służyła u Tyszerów dopiero dwa miesiące i nie poznała garderoby swego pryncypała), w jego kapeluszu wymknął się z mieszkania, a następnie zastukał do drzwi dzwiaząc się głośno, że gospodarzy nie ma o tej porze w domu. Na pukanie wyszła od sąsiadki służąca Borowska i poinformowała Łaniuchę, że także czeka na właścicieli. Zaproponował się, że poczekają razem i próbo wał wyciągnąć dziewczynę na rękę, ale bała się, że straci pracę. Wówczas Łaniucha udał się do kawiarni Piłkowskiej, dał tam chłop cu na posyłki 5 złotych i kazał iść z wiadomością do Borowskiej, że Tyszerowie cze kają na nią na ulicy Tatrzań skiej. Sam też poszedł na Piotrkowską i zaproponował służącej Tyszerów że poje dze także na Tatrzańską, gdyż zależało mu, jak mówił, aby niezwłocznie uregulować należność za pianino, które dopiero zadatkował. Był tak uprzejmy, że zabrał służącą do taksówki. Chłopca na po syłki także namawiał do przejazdu, ale tamten nie mógł porzucić swoich zajęć w cukierni i obiecał, że przy jedzie później. Uratowało mu to życie. Borowska wzięła bo wiem Łaniucha podstępnie na pewna śmierć, gdyż zależało mu na zlikwidowaniu jedy nego świadka jego rannej wi zyty u Tyszerów. Chłopakowi na posyłki także wołały Ła niucha zamknąć usta, ale li czył, że jeszcze znajdzie oka zję.

To co zeznał Łaniucha pod czas pierwszych badań było logiczne i jasne, a jednocześnie tak proste, że nie mogło się wprost pomieścić w głowie domości policjantów, którzy mając do czynienia z potrójnym morderstwem skłonni byli do daleko posuniętych spekulacji. W wiewieniu na ulicy Kopernika Łaniucha skorzystał z ich wątpliwości i zameldował naczelnikowi, że ma współlnika, od którego wkrótce nadejdzie gryps. Kiedy paczka z grypsem nie nadechowała Łaniucha odwo lał swoje zeznania. Potem znowu próbował skomplikowa ć śledztwo nowymi rewelacjami zachując nieustannie sędzię śledczego, ale wkrótce poznali się na tym. Czując się zapomnianym Ła niucha zrzekł się obrońcy i z zadowoleniem stwierdził, że wiadomość o tym wywołała solidne wrażenie na mieście. Stwierdził, że będzie bro nił się sam, domagał się papi eru i ołówka, po czym na ośmiu kartkach spisał sobie mowę, której wyuczył się na pamięć. Zaczyna się ona tak: „Wstąpiłem do pracy u pani Tyszerowej, która obiecywała mi, że jak u niej dopra cuję parę miesięcy, to mnie wyśle potem do Warszawy, a potem do Lipska na dalszą naukę”. Kończył się zaś ta mowa następującym oskarże niem: „To była bardzo zła kobieta, Tyszerowa. Ja u niej pracowałem przez osiem mie sięcy po dwanaście godzin, rece sobie krwawiłem, a ona mi nie chciała nawet świa dectwa wystawić”.

Proces wyznaczony został

na 21 lutego 1929 r. Sala są du numer 56 została specjal nie przebudowana w przewi dyanu zainteresowania, jak kie wzbudzała sprawa trzy krotnego mordercy. Przed gmachem sądu zebrał się tłum tak wielki, że policja miała pełne ręce roboty. Pub licyzność wpuszczano tylko za biletami. Na sali przeważały wyelegantowane panie, któ re zajął lepsze miejsca poz zbawiając nawet dziennika rzy miejsc prasowych. Świad kowie zeznawali krótko. Nie było momentów spornych, przyszanie Łaniuchy spoczy wało w aktach sprawy. Kiedy zamknięto postępowanie dowodowe i udzielono mu głosu w ostatnim słowie, po prosił o szklanke wody i do piero potem zaczął przemawia ć. Zrobił wrażenie, nie któ re kobiety mdlały. Jakaś historyczka zaczęła krzyczeć na całą salę, że Łaniucha jest niewinny. Wyrok ogłoszono po południu, Stanisława Ła niuchę, trzykrotnego morder ce, za każde z przestępstw skazywano na karę śmierci or zekając ostatecznie łączny wyrok w postaci kary śmier ci. Morderca znowu wszyst kich zadywiał. Ledwie prze brzmiały słowa sędziego krzy knął wesole: — Niech żyją młode ko biętki!

„Ale w jego celi znaleziono potem wyskrobany tego sa mego dnia napis: „Tu siedział sp. Stanisław Łaniucha morderca trzech niewinnych o fiar — podpisał pomocnik Lucypera”.

Skazanego na śmierć prze stępce poddano obserwacji psychiatrycznej dopiero w ostępianiu apelacyjnym. Ostateczny wyrok zapadł 18. XI. 1929 r., a więc w rok po do konaniu przez Łaniuchę trzech morderstw. Biegły psy chiatry orzekł w swej opinii zmniejszona poczynalność oskarżonego co miało ten skutek, że sąd apelacyjny uchylił wyrok skazujący Ła niuchę na śmierć i skazał go na dożywotnie więzienie.

„Ale na tym nie skończyła swego życia legenda. W 1933 roku pewien zbrodniarz skaza zany także na bezterminowe więzienie zameldował sędzie mi śledczemu, że jest współ nikiem Łaniuchy. Szczegóło we badania wykazały, że chciał on sobie po prostu ta mni kosztem uszczeknąć nieco ziej stawy z jaka związane jest nazwisko Łaniucha. Na krótko przed wybuchem woj ny pewien kapitan ze szkoły policyjnej informował wszyst kich ciekawskich, że udało mu się wyświecić prawdziwa zagadkę życia zbrodnia rza. Kapitan twierdził, że prawdziwym ojcem Łaniuchy był sam Bronisław Tyszer.

Szałency, jak stad widać, znajdują zawsze jeszcze wiel kich szaleńców, aby legenda mogła się karmić nowymi mitami.

Materiały prasowe z lat 1928-1929: „Głos Poranny”, „Echo”, „Kurier Łódzki”, „Ilustrowana Republika”.



Lewym okiem

### ZAKRĘT ŚMIERCI I WIEŻA GŁODOWA

W starych zamkach Francji, Szkocji, Włoch demonstruje się turystom historię tych miejsc poprzez wypracowaną niedawno, bodajże przez Francuzów, formę „Son et Lumiere” — „Dźwięk i światło”. Nadawane z tamtych dźwięki, które prawdopodobnie towarzyszyły dziejącym się tu kiedyś wydarzeniom, skondensowane i przyprowi one przez wyspecjalizowanych artystów, wsparte teatralnymi efektami świetlnymi — dają publiczności złudzenie uczestniczenia w dawno mionych sprawach, pomagają wyobrazić i zmu szają do zainteresowania się miejscem i jego otoczeniem. Czytamy o tym w reportażach naszych wojażerów, często zresztą z krzywym przesměsz kłem — że niby komercjalizacja świątoci narodowych, cyrk zamiast dostojnych ruin.

Na naszych ziemiach też zostało trochę muro wanych pamiętek minionych wieków. Ich historię demonstrują wycieczkom przewodniczy, spoceni, źli i znużeni. Jak się parę takich zam czysk chleci, to człowiek nabiera niezłomnego

przekonania, że oprócz tortur nie się na tych miejscach nie działo i że tortury były jedyną rozrywką naszych wybitnych przodków.

Wycieczki — to w przeważającej większości gromady dzieci z niezliczonych kolonii letnich. Do brną także dziewięciolatki na Chojnik, siadają jak które może na zamkniętym dziedzińcu zamczy ska, a pan przewodnik przy mierza się do stoja cego na środku kamiennego stupa: to właśnie był przęgiarz i tak właśnie przywiazrywano tutaj ska zanców, z tej strony mężczyzn, z tamtej — ko biety. W tym miejscu siadali pan i pilnował, że by każdy przechodzący obok przęgiarza spłunął na skażaćca.

Jeśli zamiast kolonii dziecięcych siedzą dookoła wczasowicze — pan przewodnik doda jeszcze, że skazańców pod przęgiarzem przywiazrywano na gich. A tu siadali pan... i tak dalej.

W tamtej wieży zamykano skazanych na śmierć głodową. W tę studnię wtarciano niewierne żony. Tu zachowały się żelazne dyby... A na szczyt wieży, dokąd dzisiejszy turysta wspiąć się musi w absolutnej ciemności („okaza, panie Jasiu!”), walać głową w różne cegły i deski, po kręconych schodach wchodziłi kiedyś rzeźcy tylko po to, żeby zobaczyć, czy nie jedzie jakaś karawana kupców, na którą warto by napaść i oskubać. Ot i cała historia zamku, w tym wiadomo czyje go.

Nie przesadzam ani o słowo. Komentarz do zwiedzanych zabytków jest w zbyt wielu mie scach szczytem tandety, a często i wulgarnie ziego smaku. Jeśli półrokiem Karpacza przewodnik staje i mówi: pod tym drzewem odbywały się sądy, po czym na tamtej górze wieszano, a w tę stronę będziecie państwo chodzić na krzako terapię — to to jest zwyczajna budża, bo o drzewie na pewno nigdzie niczego nie zapisano, i to jest zwyczajny prymitywny aniydowcip, choćby nie wiem ile pań chichotało przy nim z radości.

Jeśli gdzie indziej przewodnik pokazuje kości ludzkie — a to jest niedziwa, powiada, ale nie taka do mycia nóg, jak panie myślą — to ten przewodnik jest poniżej dopuszczalnego poziomu, zwłaszcza że akurat mówi do lekarzy, które nie myślą o myciu nóg na widok szkieletu.

W czeskim Karlsztajnie zaglądałem w studnię, wypierconą ze szczytu wzgórza, poprzez skałę, aż do płynącego w dole potoku. Kamyk rzucony w tę studnię długo obija się o ściany. Daleko, daleko w głębi polyskuje woda. W Chojniku nie ma po co zaglądać, bo dwa czy trzy otwory prawdopodobnie studzienne pełne są nieomal po brzegi puszek po śledzich Piccadilly i podar tych „Przyjaciółek”. Żeby chociaż z pięć metrów pokopać i — jeśli dalej nie można — pokryć dno piaskiem, zamiast śmietnika! Żeby wejście do niegdysiejszych podziemi — zachowane zdrowo — nie było wejściem do pomieszczeń, wykorzystywa nych zamiast szaletu! Żeby chociaż jeden prze wodnik, przechodząc obok jakiegoś tam glazu w Polanicy czy w Żegiostowie czy w Tymbaruku nie powiedział filuternie: a ten glaz to za każ dym razem, kiedy siadnie na nim dziewczka, prze sruwa się o metr w górę... żeby chociaż jeden za kręt szosy w górach nie był prezentowany jako „Słynny Zakręt Śmierci”.

Bardzo ładne są widoki ze szczytów gór i dla samych tych widoków też warto się tam drapać. Nie popsują ich nawet „wyjaśnienia”: tamte dwa wzgórza obok siebie to proszę państwa biusto nosz, panowie wiedzą, jak się coś takiego zdo bywa... Jeżeli oprócz widoków jest jeszcze na szczycie zamek, czy choćby jego reszka — nie marnujmy okazji wzbogacenia naszej wiedzy o kraju ojczystym, naszej czulej narodowej pamię ci — nauczmy przewodników, jak się to ludziom podaje, nauczmy ich kultury, dowcipu, historii.

CWIEK